POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. Dnia 21-go września 1940r. Rok II. Nr. 28

OSTROŻNIE Z TĄ NAUKĄ . . .

Stara zasada rzymska twierdziła, że należy uczyć się od wrogów. Istotnie, gdyby poniektóre bardzo dzielne ale niebardzo przewidujące społeczeństwa były uczyły się od Niemców, jak się przygotowywać do wojny, byłyby dobrze wyszły na tym . . .

Ale prawdą, o której dobrze pamiętać, jest również, że nie trzeba uczyć się od wrogów zbyt pochopnie i zbyt niewybrednie. Skoro są to nasi wrogowie, a więc ludzie, od których na coś *dzieli* i widocznie dzielić *powinno* (bo nie mówię o wrogach urojonych tylko) zapożyczanie od nich czegokolwiek może być groźnym zacieraniem różnic.

Myślę o tym ilekroć słyszę rozumowania mniej więcej takie: "Hitleryzm? Nie. To doktryna sprzeczna najzupełniej z tym, co jest polskim duchem, polską tradycją i interesami polskimi. Nigdy w ideologii polskiej nie mogą znaleść się pierwiastki, które czynią z narodowego socjalizmu niemieckiego zjawisko tak jaskrawe i tak swoiste. Ale w hitleryzmie mieszczą się nie same tylko skrajności, przeciw którym wzdryga się nasze poczucie moralne i buntują nasze pojęcia o roli człowieka i państwa. Są tam pewne idee, pewne wskazania, które można by z pożytkiem zastosować u nas. Nic nas przeciez nie zmusza do brania wszystkiego. Weźmy to tylko, co się nam może przydać, nie narażając na szwank ani naszego wyglądu kulturalnego ani naszej opinii w świecie."

Chciałbym przestrzec przed tego rodzaju rozumowaniem. Polega ono na przypuszczeniu, że doktryna narodowo-socjalistyczna jest dowolną składanką, że więc można z niej wyrwać to i owo, oczyścić z sąsiedztwa, jak marchewkę i potem spożyć sobie na zdrowie. Owóż takie wyobrażanie sobie hitleryzmu jest bardzo niebezpieczne i bardzo błędne.

Zacznijmy od niebezpieczeństwa. Przypominam sobie, jak przed wielu laty jeden z najwybitniejszych polityków polskich, dziś już nieżyjący, opowiadał o swych wrażeniach z rozpraw parlamentarnych z przeciwnikami politycznymi, a miał w tym względzie doświadczenia bardzo bogate. "Gdy słucham," mówił z uśmiechem, "jak przemawia ktoś, czyj program zwalczam, wówczas modlę się po cichu, ale bardzo żarliwie: Panie Boże, Panie Boże, nie spraw, aby mię przekonał!" Oczywista, bo jeśli ma się kogoś zwalczać skutecznie, to znaczy z całym impetem, to powinno się mieć głębokie przeświadczenie zarówno o słuszności swoich zasad, jak o całkowitej błędności zasad przeciwnika. Podkreślam, że chodzi o walkę, nie o spór sądowy ani o dociekania naukowe i że chodzi o to, by przeciwnika powalić, nie o to, by ważyć rzeczy na szali sprawiedliwości czy badań teoretycznych.

W walce wszelka luka w wrogiem nastawieniu wszelkie przyznawanie przeciwnikowi słuszności w czymkolwiek, jest rozbrajaniem się moralnym i musi odbić się groźnie na wartości bojowej. Jeśli będzie nam, gdzieś na tyłach naszego myślenia, błąkać się myśl, że nie wszystko w hitleryzmie jest do tępienia, lecz że należy wyłuskać zeń jedno i drugie dobre ziarno — wówczas wcześniej czy później osłabnie; z przeciwstawnością duchową, nasza postawa bojowa. Nic tak nie podgryza się pod energię działania i pod wolę zwycięstwa, jak medytowanie nad tym, które miejsca wroga należy oszczędzać. Trzeba go bić całego albo się go w ogóle nie pobije.

Ale rozumowanie, że hitleryzm jest kością, z której można wyssać coś niecoś szpiku i resztę odrzucić, jest też całkowicie błędne.

Pamiętajmy, że punktem wyjścia niemieckiego narodowego socjalizmu była katastrofa w wojnie światowej. Wielkie klęski bywały nieraz w dziejach ludów źródłem nowych filozofij opanowujących ducha narodu i rozniecających jego wiarę w siebie i w swoją lepszą przyszłość. Mamy we własnej historii wspaniały przykład takiego ożywienia sił narodu przez filozofię. Po katastrofie powstania styczniowego wyszła z emigracji polskiej nauka, która krzepiło się całe pokolenie udręczonych, świtu nadziei złaknionych, Polaków. Nauka ta głosiła, że Polska jest Chrystusem narodów, że jak On była umęczona, by zbawić błądzącą ludzkość. Wskazywała Polsce misję odrodzenia narodów przez przykład własnego cierpienia; wzywała Polaków do podniesienia się duchem tak wysoko, by stawali się widomymi przewodnikami w pochodzie ludów ku wielkim ideałom życia. Była to doktryna przejasna, pełna miłości człowieka, pragnąca zapalić nad Polską płomień, ku któremu zwracałyby się z wiarą i nadzieją oczy wszystkich narodów pragnących wyzwolenia z ucisku.

Jakże inną rolę wyznacza Niemcom hitleryzm! On też wyrósł z przygnębienia narodowego po katastrofie. Ale ile polska doktryna miała w sobie życzliwego wszystkim promieniowania na całą ludzkość, tyle niemiecki narodowy socjalizm zawiera bezwzględnego sobkostwa i wilczej drapieżności. Klęski w wojnie światowej nie pojęto w Niemczech jako Krzyża wziętego na barki i nadającego wzniosłość męczenniczego cierpienia, ale jako bezczelną obelgą wyrządzoną majestatowi narodu niemieckiego i wymagającą zmycia w potokach krwi. Odwieczna, od krzyżackich czasów zawsze ta sama, rozkraczona pycha zażądała odwetu. Hitleryzm właśnie dostarczył jej środków po temu.

Otworzył starą zbrojownię niemiecką i wydobył z niej wszystko, co mogło służyć do uczynienia z Niemiec jednej wielkiej maszyny zniszczenia. A więc przede wszystkim bute twierdzenie, że Niemcy są narodem od Pana Boga osobliwie wyznaczonym na panów świata, którym wszystkie ludy winny kłaniać się w pas i znosić daniny. Hitleryzm rozżarzył do białości tę niemiecką zarozumiałość narodową, pasując Niemców na jedyną doskonałą rasę i ogłaszając wszystkie inne ludy za rasy mniej lub więcej skażone, a przeto niższe, służebne.

Następnie wyprowadził do działania wszystką niemiecką przemyślność organizacyjną i wszystkie niemieckie skłonności do maszerowania rzędem, pod komendą wojskową. Rozpalił w duszach niemieckich nienawiść do szeregu obcych ludów, wiedząc, że nienawiść obcego jest bardzo skutecznym środkiem jednoczenia się narodu. Uczynił wreszcie narodowi niemieckiemu bałwana w postaci Führera, wiedząc, że cześć bałwochwalcza zaćmiewa wszelką myśl krytyczna i paraliżuje wszelki opór, że więc władza na tej czci oparta najłatwiej przeobraża społeczeństwo w sprawnie funkcjonującą maszynę.

W ten sposób wszystko w hitleryzmie zmierza do jednego celu: do najwyższego spotęgowania niemieckiej siły ataku. Wszystko tam jest wprowadzone i ukształtowane tak, by nawzajem się uzupełniać i podpierać w dążeniach do niemieckiego odwetu. Z tą myślą wszystko tam jest dopasowane do siebie, trzyma się jedno drugiego, zachodzi jedno na drugie. I wszystko razem jest tak przyciosane i tak zabarwione, by wytwarzać niemiecką, jeszcze raz niemiecką i tylko niemiecką siłę uderzenia.

W tym świetle staje się zrozumiałe, że nie można narodowego socjalizmu rozparcelowywać i nie można sobie w nim wyszukiwać jakichś kawałków do zabrania. Nie ma w hitleryzmie części, któreby miały znaczenie same w sobie; każdy składnik pozostaje tam w ścisłym stosunku do innych i tylko w związku z nim ma sens. To też gdybyśmy spróbowali wyrwać z hitleryzmu jakąś rzekomo cenną cząstkę, by ją przenieść do siebie, rychłobyśmy się przekonali, że nie jest ona nic warta bez swoich przyległości w całokształcie doktryny hitlerowskiej, i że chcąc mieć z niej pożytek, trzeba by dopożyczyć z hitleryzmu to i owo. A ponieważ te dopożyczone dodatki ze swej strony znów pociągnęłby za sobą to, z czem są związane logicznie, przeto powolutku, sami nie wiedząc dobrze kiedy, przetransportowalibyśmy do siebie całe przeraźliwe barbarzyństwo tej doktryny.

Damy hitleryzmowi mały palec złapie nas za całą rękę.

Nie zaprzątajmy więc sobie głów dzieleniem hitleryzmu na ziarna i na plewy. Niczego w nim odsiać nie można, bo to jeden twardy blok, który trzeba albo cały wziąć albo cały odtrącić.

Jeżeli zaś zbiera nas chwalebna chęć szukania u obych czegoś dobrego do nauczenia się, to już lepiej zwróćmy się do tego społeczeństwa, wśród którego nas teraz los osadził, a które w swym charakterze i w swych obyczajach ma tak wiele pierwiastków bliższych ideałom Polaka, niż doktryna, co uczyniła teraz z lądu europejskiego żerowisko niemieckie.

Publicjusz

Rozmowa z odznaczonym lotnikiem

—Przed dziesięcioma minutami spotkało mnie szczęście o którym zawsze myślałem. Zostałem mianowicie udekorowany przez Wodza Naczelnego Krzyżem "Virtuti Militari"— mówi młody, 30-letni sierżant lotnik.

Zostawił w Polsce matkę, brata, podporucznika lotnictwa w niewoli rosyjskiej, dwie siostry i szwagra też w niewoli.

Do lotnictwa wstąpił w r. 31, 5 lat myśliwstwa ma za sobą. Wypadków poważniejszych nie miał. W zeszłorocznej kampanii brał udział w obronie przeprawy pod Lublinem i pod Lwowem. Robił rozpoznania na "Karasiu." 17 września wylądował w Kamionce Str. i dalej do Rumunii. Potem Morze Czarne, Grecja, Włochy, do Francji i Anglii, z myślą jedną, pragnieniem jednym—dostać samolot, bić wroga.

—Kiedy Pan brał pierwszy raz udział w walce powietrznej?—

—12 sierpnia nad F . . „ na Hurricanie i od razu zestrzeliłem nurkujący bombowiec JU 87 i prawdopodobnie drugi. Niemców było wtedy 30, a nas 12.

29 sierpnia zestrzelił 3 Messerschmidty 109, i dwa Ju 88. Junkersa jednego strącił na oczach własnego lotniska i oprócz tego 28 sierpnia jednego Messerschmidta. 30 sierpnia jednego Messerschmidta 77, a Heinkla 118 tak zwinął, że dymiąc ukośnie spadał, ale z braku amunicji nie mógł go wykończyć. 31 sierpnia zaatakował 20 Dornierów. Zwalił jednego Do 215, Messerschmidta 109, ale sam dostał serię w swoją maszynę i musiał lądować, przy czym się mocno potłukł. W szpitalu dostał angielski D.F.M.—

—Co Pan myśli, co Pan czuje widząc przed sobą wroga?

—Myślę wtedy—mówi mi—co ten wróg zrobił z Warszawą, z Polską, z jej dziećmi, i pragnę jedynie i tylko jak najwięcej tych co uważam za najgorsze bestie zniszczyć, bo wiem, że każdy samolot zwalony, to chwilka bliżej do uwolnienia kraju.

Wspaniały człowiek. Idzie w bój tak, jak ci pod Grunwaldem. Ci rycerze zakuci w stal, z pieśnią Bogu-Rodzica ten bój z śmiertelnym wrogiem rozpoczęli, a Bóg da, że ci na skrzydłach, raz na zawsze go zakończą.

L.C.

Niemiecka "Neuordnung" Europy

Zdarzyła się w Europie rzecz niesłychana. W 1925 niejaki Adolf Hitler ogłosił książkę, w której poddał krytyce "mieszczański" imperializm Drugiej Rzeszy i zapowiedział, że stworzy Trzecią Rzeszę, która nie tylko wszystkie cele imperialistyczne Drugiej zrealizuje, ale jeszcze je rozszerzy. W 1935 ów Hitler został kanclerzem Rzeszy, ale mało kto w Europie wziął na serio jego program stworzenia "Niemiec 250-milionowych." Gdy Hitler kuł zbroję, która miała mu pozwolić wejść na drogę urzeczywistnienia swego planu—Europa żywiła nadzieję, że wytłumaczy mu, iż z tego planu powinien zrezygnować w imię . . . europejskiej solidarności. Gdy Hitler wszedł 12 marca 1938 do Wiednia, rozpoczynając serię zdobywania krajów sąsiednich—łudzono się jeszcze, że zdoła się go udobruchać poświęceniem jeszcze jednego członka europejskiej społeczności. Przyznać trzeba, że nazajutrz po zajęciu Pragi rząd Wielkiej Brytanii zrozumiał, iż porozumienie z Hitlerem jest niemożliwe, że trzeba się szykować do zbrojnej z nim rozprawy. Druga wojna światowa przez Niemcy wywołana rozpoczęła się 1 września 1939. W dziesięć miesięcy później niemieckie wojska okupowały siedem dalszych stolic—Warszawę, Oslo, Kopenhagę, Hagę, Brukselę, Luksemburg i Paryż—a wola niemiecka stała się czynnikiem decydującym w Budapeszcie, Bukareszcie, Belgradzie i Sofii.

Pomimo kapitulacji Francji wojna trwa. Hitler jej jeszcze nie wygrał, to też nie sformułował dotąd szczegółowo swych celów pokojowych. Wie jak daleko powinny sięgać granice niemieckiego *Reichsgebiet'u,* którego mieszkańcy albo już są Niemcami, albo byliby skazani na bezlitosną germanizację, ale nie widzi jeszcze wyraźnie konturów tych wszystkich "protektoratów," które miały by wejść w ramy niemieckiej *Grossraumwirtschaft.* Musi jednak Hitler swe terytorialne zdobycze jakoś organizować, stosunki między *Herrenvolk'iem* a narodami podbitymi musi jakoś układać. Są decyzje, których odkładać nie chce, czy nie może i te właśnie decyzje pozwalają nam naszkicować jakby wyglądała niemiecka Europa na wypadek zwycięstwa Trzeciej Rzeszy. W tym szkicowaniu bardzo mi są pomocne wiadomości zebrane różnymi sposobami w czasie mego sześcioletniego pobytu w Berlinie.

NIEMCY 250-MILIONOWE

Hitler zapowiedział stworzenie "Niemiec 250-milionowych." Nie znaczy to oczywiście, że już nazajutrz po zwycięskiej wojnie niemiecki *Reichsgebiet* miałby liczyć 250 milionów mieszkańców; znaczy to, że celem Hitlera jest stworzenie w Europie takiego ładu polityczno-gospodarczego, w wyniku którego—po upływie powiedzmy, półwiecza—Europa liczyłaby 250 milionów ludzi przyznających się do narodowości niemieckiej. Cyfra ta zostałaby osiągnięta dwiema drogami: po pierwsze, hegemonia polityczna i pomyślność gospodarcza narodu niemieckiego w Europie miałaby wywołać nową żywiołową falę dzietności (t. zn. przeciętna ilość dzieci na rodzinę powinnaby wzróść z 2,5 do 4 lub więcej); po drugie, owa niemiecka hegemonia powinnaby ułatwić proces germanizowania członków narodów ościennych w stopniu i w tempie dotychczas nienotowanym.

Powtarzam: wojna trwa, Hitler jej jeszcze nie wygrał, ale już dziś Niemcy zarządzają bezpośrednio terytorium, na którym zamieszkuje 158 milionów ludzi, t. zn. terytorium, na którym 75 milionów członków *Herrenvolk'u* decyduje o losach 20 milionów Polaków, 8 milionów Czechów i 2 milionów Słowaków na Wschodzie, 2.8 milionów Norwegów i 3.7 milionów Duńczyków na Północy, oraz 8 milionów Holendrów, 8.5 Belgów i 25 milionów Francuzów na Zachodzie Europy.

Pośrednio natomiast, w pewnym stopniu do spółki z Włochami, sprawują Niemcy kontrolę nad losami 47,5 milj. mieszkańców czterech państw dunajsko-bałkańskich, a mianowicie: powiększonych Węgier (13,5 milj.), okrojonej Rumunii (13,5 milj.), jeszcze całej, ale na mapach Hitlera i Mussoliniego już pomniejszonej Jugosławii (14 milj.) oraz powiększonej o północną Dobrudżę Bułgarii (6,5 milj.).

CZESI I SŁOWACY SKAZANI NA ZAGŁADĘ

Zajmując po-monachijskie Czechy, Hitler zobowiązał się uszanować czeską niezależność polityczną i kulturalną w ramach "protektoratu." Było to tylko jedno z wielu kłamliwych przyrzeczeń, albowiem istotnym celem Hitlera jest zniemczyć wszystkich Czechów w ciągu ćwierćwiecza (jeden z jego gorliwych wykonawców, zapominając, że mówi do Polaka, a więc do Słowianina, wymienił mi ten termin jako maksymalny).

Pomimo, że nawet z niemieckiego punktu widzenia w czasie wojny wskazana byłaby większa układność, Niemcy zamknęli wszystkie czeskie szkoły wyższe i średnie, rozwiązali wszystkie miejskie i wiejskie ciała samorządowe oraz sparaliżowali działalność czeskiej partii jednolitej *(Narodni Souručenstvi).* Prezydent Hácha i premier gen. Eliaš nadal formalnie sprawują władzę, ale faktycznie rządzi w Pradze nawet nie *Reichsprotektor* baron von Neurath, uważany za zbyt "liberalnego," ale jego brutalny zastępca Karl-Hermann Frank; rozbija on narodową solidarność Czechów przy pomocy swych "faszystowskich" najmitów z *Vlajki,* na której czele postawił niejakiego Rysia.

"Protegowana" przez Niemcy Słowacja nie jest niczym innym, jak niemiecką kolonią, gdzie poseł (a raczej *Reichsstatthalter*) Manfred von Killinger wskazuje prezydentowi Tiso i premierowi Tuce gdzie, co, kiedy i jak mają czynić. Znamienne były słowa, które p. Tuka wypowiedział przez bratisławskie radio nazajutrz po swym powrocie z Berchtesgaden (był tam 28 lipca): "Jacyś ludzie szerzą po Słowacji plotki jakoby Rosja miała wkrótce wyzwolić nasz naród. Muszę zaprzeczyć—wołał—tym głupstwom. Oświadczam, że nie dojdzie do niczego podobnego. Słowacja znajduje się po wsze czasy pod opieką Niemiec, a na komunizm nie ma tu miejsca. . . ."

P. Hácha i gen. Eliaš oraz ksiądz Tiso i prof. Tuka są tylko ofiarami względnie marionetkami cynicznego i zakłamanego imperializmu niemieckiego. Rzeczywistym przedstawicielstwem Czechów i Słowaków jest uznany przez Wielką Brytanię rząd czecho-słowacki w Londynie z Dr. Edwardem Benešem jako Prezydentem Republiki oraz ks. Janem Šrámkiem jako premierem.

"POLSKIE SIEDLISKO" POD NIEMIECKIM ZARZĄDEM

Zawierając 28 września 1939 ze Stalinem sławetny "pakt o przyjaźni i granicy" (*Interessengrenze,* jak stale pisze prasa niemiecka), *Führer* oświadczył *Woždiowi* za pośrednictwem Ribbentropa, że poza wschodnią połacią Polski, jaką mu odstępuje nie interesuje się również losem Finlandii, państw bałtyckich oraz Besarabii. Stalin mógł więc sobie wymienione kraje zagrabić bez naruszania "ducha" paktu z 28 września. Aby to było jaśniejsze, Hitler—po wiedeńskim wyroku Salomonowym z 30 sierpnia w sprawie Transylwanii i po wypędzeniu króla Karola—wziął faktycznie pod swój protektorat resztę Rumunii, zyskując przez to dostęp do Morza Czarnego i opanowując cały bieg Dunaju.

Nazajutrz po kampanii polskiej i pakcie niemiecko-sowieckim, Hitler, dekretem z 12 października 1939, odrąbał od Polski jej ziemie zachodnie i "włączył" je do Rzeszy. Z reszty naszych ziem stworzył t. zw. *General Gouvernement Polen,* na którego czele postawił ministra Rzeszy bez teki Hansa Franka, twórcę "nowego prawa niemieckiego." Miał nadzieję, że znajdą się Polacy, przy których pomocy zdoła stworzyć "rząd polski" w generał-gubernatorstwie. Ale tacy ludzie się nie znaleźli nawet po tak ciężkim dla narodu polskiego ciosie, jakim była kapitulacja Francji. To też dekretem z 25 sierpnia r.b. Hitler zamienił *Amt* p. Franka na *Regierung* generał-gubernatorstwa. To ostatnie zostało również włączone do Rzeszy. "Państwa polskiego nie ma"—pisał Wilhelm Zarske na łamach *Warschauer Ztg.*—"istnieje natomiast narodowe siedlisko Polaków pod zarządem niemieckim."

"NORDYCKA WSPÓLNOTA KRWI"

Na Północy i na Zachodzie Hitler postępuje znacznie ostrożniej, niż na Wschodzie i na Południo-Wschodzie Europy. Z dwu powodów: po pierwsze, Hitler jeszcze nie wykluczył możliwości pokoju kompromisowego z Wielką Brytanią i dlatego nie nadaje swym zachodnim posunięciom charakteru nieodwołalnych faktów dokonanych; po drugie, licząc się także z koniecznością wojny długiej, nie chce ułatwiać gry polityce brytyjskiej ani w Skandynawii, ani w Niderlandach, ani—przede wszystkim—we Francji.

Zacznijmy od Skandynawii. Szwecja (6,3 milj. mieszkańców) jest ciągle neutralna i formalnie niepodległa: faktycznie jest przez Niemcy i Rosję sowiecką całkowicie od świata odciętą, a jej położenie gospodarcze niewiele się różni od położenia krajów przez Niemcy okupowanych. Jeśli jeszcze nie ma w Stockholmie niemieckiego *Reichskommissar'a* to tylko dlatego, że między Berlinem a Moskwą istnieje ciche porozumienie co do niezajmowania na razie ani Szwecji (przez Niemcy), ani Finlandii (przez Związek sowiecki).

Ponieważ Dania poddała się Niemcom bez walki, król Chrystian i koalicyjny gabinet Thorvaldą Stauninga pozostają nadal formalnie u władzy, ale rządy faktyczne dzielą między siebie b. poseł niemiecki w Kopenhadze von Renthe-Fink (*Reichskommissar* bez tytułu) oraz niemiecki gubernator wojskowy gen. Lütke.

Norwegia się nie poddała. Król Haakon i legalny rząd koalicyjny p. Johana Nygaardsvolda znajdują się dziś w Londynie, a ich ojczyzna jest w stanie wojny z Rzeszą. Administruje podbitą Norwegią *Reichskommissar* Terboven, a niemieckim gubernatorem wojskowym jest gen. von Falkenhorst. Społeczeństwo norweskie zachowuje się wobec najeźdźców z wrogą biernością. Niemieckie próby doprowadzenia do abdykacji króla Haakona się nie udały; monarcha jest nadal w Norwegii bardzo popularny. Mała grupa germanofilskich i "totalniacko" nastrojonych Norwegów z majorem Quisling'iem na czele nie była dotychczas w stanie przekonać okupantów, że im właśnie powinni powierzyć rządy w Norwegii.

Politykę niemiecką w Skandynawii trzeba więc scharakteryzować jako wyczekującą. Ale ostateczne cele Hitlera są jasne. W razie zwycięstwa—Dania byłaby po prostu wcielona do Rzeszy, Szwecja i Norwegia stałyby się niemieckimi "protektoratami." Alfred Rosenberg już przed paru laty tak interpretował w Lubece zasadę "nordyckiej wspólnoty krwi."

NIDERLANDZKIE "SZCZEPY NIEMIECKIE"

Rzućmy teraz okiem na zachodnie kresy kontynentu europejskiego. Holandia, na wzór Polski i Norwegii, dalej prowadzi wojnę z Niemcami. W okupowanym kraju sprawują władzę niemiecki *Reichskommissar* Seyss-Inquart i gubernator wojskowy gen. Christiansen. Prasie holenderskiej nie wolno pisać ani o królowej Wilhelminie, ani o legalnym rządzie holenderskim (na którego czele stoi dziś prof. P. S. Gerbrandy) mającym swą czasową siedzibę w Londynie. Choć Seyss-Inquart zapewnia, że wspaniałomyślny *Führer* uszanuje wolę Holendrów, to jednak—w razie zwycięstwa niemieckiego—ich kraj byłby włączony do Rzeszy, albowiem, wedle "nauki" narodowo-socjalistycznej, nie ma żadnego narodu holenderskiego: jest tylko szczep niemiecki, który czasu wojen religijnych, dzięki wdaniu się obcych, został oderwany od macierzy.

Po walecznym kilkunastodniowym oporze, armia belgijska skapitulowała (27 maja). Tak chciał król Leopold III. Wrócił do Brukseli i tam się uważa za jeńca wojennego Niemiec. Jego krok surowo został osądzony przez p. Pawła Reynaud'a, który w kilkanaście dni później zachował się gorzej. Rząd belgijski pp. Pierlot'a i Spaak'a potępił króla i wypowiedział się za dalszym prowadzeniem wojny po stronie sojuszników, ale po kapitulacji Francji znalazł się w sytuacji dwuznacznej. Nie postąpił jasno i zdecydowanie, jak rząd polski, ale zaczął prowadzić rozmowy jednocześnie z Londynem (od którego zależy los Konga i belgijskiego złota) i z Brukselą (gdzie zamierzał wrócić, ale gdzie Niemcy go nie wpuścili). Pozostał więc w nieokupowanej Francji do pierwszych dni września, skąd go rząd Marszałka Pétain'a, na skutek nacisku niemieckiego wyprosił. . . .

Nie ma dla Belgii innej nadziei jak zwycięstwo Wielkiej Brytanii i jej sojuszników. Niemcy bowiem nie uznają istnienia narodu belgijskiego. Ich zwycięstwo oznaczałoby koniec Belgii. Już podczas pierwszej wojny światowej, finansowali Niemcy nacjonalistyczny ruch flamandzki. Ich główny agent z tamtych czasów, Dr. Borms, znów działa w Antwerpii. Może się bardzo przydać dla stworzenia "wielkiej Flandrii" pod niemieckim protektoratem, Flandrii sięgającej po linię rzeki Somme, t. zn. umożliwiającej Niemcom władanie zarówno portami Kanału La Manche jak i francusko-belgijskim zagłębiem węglowym. Nie jest to przypadek, że gen. baron Aleksander von Falkenhausen jest gubernatorem wojskowym nie tylko całej Belgii, ale także i północnej Francji po linię Somme-Aisne.

CO HITLER JUŻ "WCIELIŁ" NA ZACHODZIE

Jedynymi na Zachodzie faktami dokonanymi o charakterze "ostatecznym," na jakie Hitler już sobie pozwolił są: Wcielenie obszaru Eupen-Malmédy, likwidacja W. Księstwa Luksemburskiego, oraz faktyczny ponowny zabór Alzacji i Lotaryngii.

Obszar Eupen-Malmédy, jaki na mocy Traktatu Wersalskiego został przydzielony Belgii, wrócił do Rzeszy na mocy dekretu Hitlera z 18 maja r. b.

W Luksemburgu *Reichkommissar* Gustav Simon, *Gauleiter* z sąsiedniej *Gau Trier-Mozel,* oświadczył 14 sierpnia, że "konstytucja Wielkiego Księstwa jest zniesiona, a Luksemburg, zważywszy na jego odwieczny niemiecki charakter, zostaje włączony do Rzeszy."

W Alzacji-Lotaryngii Niemcy przenieśli granicę celną Rzeszy na granicę polityczną z 1914 r. (od 1 lipca). Departamenty *Haut Rhin* i *Bas Rhin* są administrowane przez *Gauleitera* Roberta Wagnera z Karlsruhe, który—przemawiając 23 lipca w Strasburgu—oświadczył, że "sprawy alzackiej już nie ma, a lud alzacki został przez *Führer'a* wyzwolony na zawsze." Alzacja i Badenia będą zapewne połączone w *Reichsgau Oberrhein.* Natomiast lotaryński departament *Moselle* z Metzem jako stolicą dostał się pod administrację *Gauleitera* Józefa Bürckela, z sąsiedniej *Gau Saar-Pfalz.* Zarówno Wagner jak i Bürckel starają się zatrzeć jaknajszybciej ślady francuskiego panowania w dawnym *Reichsland'zie;* język francuski jest systematycznie ignorowany i nie wolno jest go używać nie tylko w druku, ale także na ulicy, w sklepach i w lokalach publicznych. Przy reewakuacji ludności alzacko-lotaryńskiej z głębi Francji, *Gestapo* pilnie baczy, aby tu nie wrócili jacyś "frankofile."

GRA HITLERA WOBEC FRANCJI

Poza reaneksją Alzacji, Niemcy zastosowali wobec Francji zręczną taktykę: pozostawiając na nieokupowanych dwu piątych terytorium francuskiego fikcję rządu i suwerenności francuskiej—znakomicie utrudnili zamorskim posiadłościom francuskim dalsze prowadzenie wojny po stronie Wielkiej Brytanii. Ale niech nikt nie wątpi, że Włochy, którym Hitler pozwolił na razie tylko na okupację Mentony i Monte Carlo, wyciągają ręce nie tylko po Korsykę i Tunis, ale także po Chambéry, Grenoble i Marsylię. Nikt również niech nie wątpi, że zwycięskie Niemcy zredukują Francję do rzędu protektoratu, okroiwszy ją uprzednio od Północy (zabór kresów "flamandzkich"), od Zachodu (utworzenie "niezależnego" protektoratu bretońskiego), oraz od Południa (gdzie Hiszpania otrzymałaby kraj Basków i kataloński Roussillon, gdzie pod egidą Włoch powstałby protektorat "okcytański").

Na Zachodzie, jak i na wschodzie, bylibyśmy świadkami urzeczywistnienia imperialistycznych planów niemieckich z przed pierwszej wojny światowej. O tej ciągłości niemieckich zamierzeń najlepiej świadczy fakt, że separatystów bretońskich Francès'a Debeauvais i Olivier'a Mordrel'a zaczął finansować w 1925 Stresemann, w 1933 przejął ich na swój budżet Göbbels, przed wybuchem wojny zdążyli ci panowie uciec do Niemiec, a dziś osadzono ich z powrotem w Rennes, aby tam nadal agitowali za "niepodległą" Bretanią. Opłaciłaby się Niemcom ta "niepodległość" znakomicie, dałaby im bowiem do dyspozycji atlantycką bazę morską w Brest (na Morzu Śródziemnym zapewne "rezerwują" sobie Niemcy bazę w Tulonie).

NIE WIERZYMY W IMPERIUM GERMAŃSKIE

Tak w najogólniejszym zarysie wyglądałaby Europa po niemieckim zwycięstwie. W teorii Niemcy na kontynencie dzieliłyby swe wpływy z Włochami i z Hiszpanią, ale w praktyce ich hegemonia byłaby absolutna. Czy jest możliwa i czy byłaby trwała? Imperium Germańskie mogłoby powstać tylko na gruzach Imperium Brytyjskiego. Nie wierzę w jego powstanie, albowiem nie wierzę w niemieckie zwycięstwo. Nie wierzę w jego trwałość, albowiem Niemcom brak jest ducha imperialnego. Wśród nie tyle wielkich, ile liczebnych narodów świata Niemcy są najbardziej nielubianym, znienawidzonym nawet. Sympatii nie ma do nich nikt. Przetłumaczyli z angielskiego *to live and let live* (żyć i umożliwić innym życie), powtarzają stale, że chcą *leben und leben lassen,* ale brak im umiejętności i charakteru, aby byli w stanie wprowadzić tę zasadę w życie. Marzenie Hitlera o *Germanisches Reich Deutscher Nation* (Imperium Germańskie Narodu Niemieckiego) jest marzeniem wielkim, ale się nie ziści dlatego, że dusza niemiecka jest mała.

Kazimierz Smogorzewski

ŚP. KSIĄDZ DZIEKAN WŁODZIMIERZ CIEŃSKI,

proboszcz parafii Św. Marii Magdaleny we Lwowie, szlachetny człowiek, bohaterski kapłan i wielki patriota, został rozstrzelany przez bolszewików za chęć towarzyszenia Polakom zsyłanym bez winy w głąb Rosji

---

Jak wygrać partię?

Chcę mówić o obecnych zmaganiach na arenie światowej, jak również o widokach tej walki na przyszłość. Głównym graczem na terenie Europy jest od przeszło roku Hitler—na czele Niemiec. Sekundują mu, jak dotąd na wschodzie Rosja, a na południu, od niedawna również i Włochy. Nie wykluczajmy powstania w przyszłości większych nieporozumień między dotychczasowymi sprzymierzeńcami, gdy zechcą dzielić między siebie szaty zawojowanej Europy. Wątpić jednak należy, by te ewentualne waśnie, powstałe na tle podziału łupu, zadecydowały o zakończeniu wojny w Europie i o zapanowaniu pokoju.

Anglia, ze swym sojusznikiem Polską, nie mogą i nie odstąpią od dalszej walki.

Nasuwa się więc pytanie, jak wygrać tę ostatnią partię, która ma i musi rozstrzygnąć o przyszłych losach Europy i świata.

Niemcy ryzykują natarcie z powietrza i morza na Anglię. Przekonany jestem, że to gigantyczne przedsięwzięcie przemieni się w wielką klęskę sił niemieckich użytych do tego zadania. Z drugiej strony nie możemy sobie wyobrazić długotrwałej wojny, w której jedynie i wyłącznie siły powietrzne państw wojujących zwalczałyby się wzajemnie, jak to się dzieje od miesięcy.

Chcąc w przybliżeniu słusznie wyrokować w tej sprawie, musimy się zastanowić nad przyczynami dotychczasowych sukcesów, odniesionych przez państwa totalne a głównie przez Niemcy. Te rozważania dadzą nam najwłaściwszą odpowiedź co do metod, których zastosowanie potrafi jednak obalić obecne panowanie militarne Niemiec jak i ich wspólników—nad Europą.

Czy Hitler zawdzięcza swemu geniuszowi to, iż prawie cała Europa została przez jego wojska zawojowana? Jest to wstępne pytanie, które się nam nasuwa przy przeprowadzeniu zapowiedzianej analizy, przyczym i sukcesów wodza Niemiec. Otóż przewaga Hitlera polega jedynie i wyłącznie na trafnym wnioskowaniu, na doskonałej ocenie przeciwnika, oraz na umiejętnym zastosowaniu najnowszych środków walki jakimi są: lotnictwo, pancerz i propaganda.

Dawni wodzowie Polski, królowie i wielcy hetmani zawdzięczali ogromne sukcesy swego oręża w czasie średniowiecza, inicjatywie uderzenia i ruchliwości swoich zastępów. Niemiecki Fryderyk Wielki odnosił wielkie zwycięstwa i podboje dzięki uruchomieniu jazdy pruskiej, która do czasu jego panowania poruszała się—jak sam się wyraził—" tak wolno, jakby nosiła gromnicę zamiast lancy." Zmieniwszy doktrynę walki przez wprowadzenie potężnego zjawiska ruchu, uzyskiwał ten król pruski swoje wielkie zwycięstwa. W podobny też sposób postąpił i Hitler, który potrafił zaprząc w rydwan wojny propagandę, oraz atut ruchu, pochowany w czasie wojny światowej, i zastąpiony przez mozolną walkę pozycyjną. To też wyłącznie tej zmianie doktryny zawdzięcza Hitler wszelkie swoje sukcesy. Te zmiany doktrynalne sięgały bardzo głęboko, powodując przewrót wszystkich dotychczasowych metod walki.

W miejsce dawnego hasła " naród pod bronią," spotykamy się z kilkoma zaledwie broniami torującymi drogę słabo przeszkolonej piechocie, a mianowicie:

gruntowne przygotowanie propagandowe,

potężne uderzenie lotnictwa bojowego silne wsparcie ogniem artylerii,

i wreszcie uderzenie broni pancernej i zmotoryzowanej.

Jakżeż wyglądały w wykonaniu, te nowoczesne metody walki Hitlera, zresztą następnie w sposób mizerny również naśladowane przez armie Sowietów i Italii? Najpierw uderza młot propagandowy, który działaniem rozkładowym przygotowuje naród do nieuchronnej klęski, zapowiadając prowadzenie niemiłosiernej wojny, bez pardonu, nawet dla kobiet i dzieci. W ten sposób przygotowuje się grunt dla paniki ludności cywilnej, a więc całego społeczeństwa, który to przykład oddziałuje również i na armię. Na skutek tych metod zjawia się jednocześnie z wybuchem wojny, między innymi, nowy instrument szerzenia paniki i załamywania nastrojów mas w postaci " samochodu ewakuacyjnego," tak bardzo znanego każdemu, kto widział te kolumny uciekinierów na drogach państw wojujących.

Gdy propaganda szerząca i zapowiadająca niemieckie "*Greueltaten*" zrobiła swoje i przygotowała naród, jak mówi Niemiec "*er hat das Volk mürbe gemacht*," następuje właściwe uderzenie armią. Jest ono zawsze przygotowane w określonym miejscu i czasie. Tym działaniom zaczepnym, jak dotąd nikt w Europie nie potrafił się ostatecznie przeciwstawić.

Tak! Wybór czasu, miejsca i środków uderzenia należał dotąd zawsze i wyłącznie do Hitlera. Uderzenia te polegały zasadniczo na torowaniu sobie drogi przy pomocy potężnego lotnictwa. Z nim współdziałała artyleria, a wreszcie przerywały się dywizje pancerne i zmotoryzowane w głąb kraju przeciwnika, siejąc panikę i zamieszanie, oraz uniemożliwiając ponowne krzepnięcie wszelkiego oporu. Za tymi szybkimi wojskami posuwała się, już prawie bez boju, piechota, zajmując ostatecznie teren i likwidując sporadycznie spotykane opory.

Taki system walki umożliwił Niemcom zawojowanie Polski w sześciotygodniowej walce wespół z atakiem Rosji od wschodu. Ten sam system walki przesądził szybko losy Danii, Norwegii, Holandii i Belgii, oraz zakończył w 11-tu dniach bitwę Francji na korzyść Hitlera.

Z powyższego wynika niezbicie, że *błędne jest mniemanie, iż geniusz Hitlera i potężna armia niemiecka są przyczyną rozgromienia wszystkich zaatakowanych potęg militarnych.* Mylne jest również twierdzenie, że silne moralnie Niemcy zniewalały kolejno moralnie nadwątlone narody, jak to się lubi mówić np. o Francji. Prawdą jest, że naród francuski wykazał wiele braków, a przede wszystkim brak hartu gremialnego przeciwstawienia się nawale niemieckiej, lecz przyczyna szybkiej klęski Francuzów, jak i innych narodów nie leży wyłącznie w brakach *morale* tych narodów. Przyczyną tych klęsk, a z drugiej strony szybkich zwycięstw Niemiec było przede wszystkim niewystarczające techniczne przygotowanie armii, jak również niedostosowanie się ich naczelnych dowództw do nowoczesnej walki ruchowej. Zamiast tego miało miejsce jedynie martwe wyczekiwanie na uderzenia Hitlera, które ze swej strony nie napotykały na odpowiednio przygotowaną obronę, ani też na dość silne przeciwdziałania.

W rezultacie zajmują Niemcy dzisiaj ziemie zrabowane aż 9-ciu państwom, utrzymując wszędzie silne kontyngenty wojsk okupacyjnych. Ta okoliczność rozdrobnienia sił niemieckich na wielkich obszarach, jak również dotychczasowe metody walki przez nich stosowane, dadzą nam odpowiedź na pytanie jak zwalczyć hitleryzm i jego sojuszników.

Pamiętamy z historii wojen, że każda broń znajdowała zawsze swój odpowiednik. Z reguły zwalczano każdą nową broń najskuteczniej taką samą bronią, o ile możności ulepszoną przez przeciwnika. A więc mamy gotową odpowiedź na pytanie—jak wygrać partię?

Najpierw rozpłynie się po całej Europie propaganda osłabiającą wolę obrońców i zapowiadająca rychły koniec obecnej dyktatury i gwałtu. Propaganda ta wspierana jest przez niszczycielską robotę lotnictwa, które oddziaływuje nie tylko na ośrodki służące celom wojny, lecz burzy również "*die blühenden Städte*" (kwitnące miasta) Niemiec—tych Niemiec, tak bardzo czułych na własne straty, a tak niemiłosiernych o ile chodzi o cudzy ból i nieszczęście. Następnie przeprowadzony będzie atak nowoczesnej armii lądowej, doskonale wyszkolonej i wyposażonej w najnowsze środki walki, a więc w jednostki pancerne zmotoryzowane, w silną artylerię, oraz wspartej potężnym lotnictwem. Armia ta natrze tam, gdzie jej wódz rozkaże i natrze wtedy, gdy wódz jej będzie to uważał za stosowne. Armia ta nie potrzebuje być tak liczna, jak to wyobrażaliśmy sobie na podstawie doświadczeń dawnej wojny światowej. Nie koniecznie musi obecnie cały naród wkroczyć w bój dla pobicia przeciwnika. Nie liczba decyduje dziś, lecz techniczne przygotowanie i zgranie oddziałów energicznie dowodzonych. Gdy o liczbę chodzi, określamy ją na około 1.000.000 zdecydowanego żołnierza, doskonale dowodzonego. Siła ta wystarczy według nas dla kolejnego obalenia wszystkich trzech dzisiejszych potęg militarnych Europy.

Sprobujmy naszkicować ogólny plan działania, który jako jeden z pośród licznych możliwych, mógłby doprowadzić według naszego zdania, do szybkiego załamania oporu Włoch i Niemiec. Głównym celem tego planu, to dążenie jak najkrótszą drogą do zawojowania właściwego terytorium Rzeszy Niemieckiej. Będzie to przeciwko Niemcom jednym z najdotkliwszych działań, gdyż doprowadzającym najszybciej do roztrzygnięcia. Najpierw zapanuje Anglia nad morzem Śródziemnym, wygrywając wojnę w koloniach afrykańskich. Później następuje desant części armii na Korsyce, Sardynii lub Sycylii. Włosi śpieszą z odsieczą, osłaniając swoją flotą transporty wojskowe. Anglicy niszczą tę flotę, mając odtąd zupełną swobodę na Morzu Śródziemnym.

Z tą chwilą można będzie przystąpić do zawojowania Włoch na ich ziemiach. Mimo prawdopodobnej pomocy ze strony Niemiec, wojna angielsko—włoska kończy się zajęciem całych Włoch w przeciągu kilku tygodni. Jednocześnie zapewnia się przez dobrą propagandę i dyplomację współdziałanie Jugosławii na Albanię i Istrię. Hasło wysuwane w tym celu wydaje się prostym i jasnym: Adriatyk musi należeć do Jugosławii, precz z panowaniem Italii nad rodzimym morzem Jugosławii.

Następnym etapem byłoby uderzenie z podstawy Tyrolskiej na same Niemcy w ogólnym kierunku na Monachium. Drugi jednoczesny wysiłek armii lądowej musiałby wówczas nastąpić z rejonu Belgii i Holandii w ogólnym kierunku Hamburg—Berlin. A więc działania wojskowe byłyby tak wymierzone, by jaknajrychlej uderzyć *na właściwe Niemcy*. Ta okoliczność pozwoli na wymanewrowanie od razu wszystkich oddziałów niemieckich znajdujących się na terenach okupowanych. Doskonała propaganda przeprowadzona w tych krajach przygotuje grunt do powstań, których początek powinien zbiec się z opisanym dwustronnym natarciem na obszar Niemiec.

Jesteśmy najgłębiej o tym przekonani, że takie lub temu podobne działanie, zdecydowanie dowodzonej armii nowoczesnej, wspartej mocnym lotnictwem, spowoduje szybkie i zwycięskie dla Anglii zakończenie wojny. Będziemy świadkami, jak dotychczasowi zwycięzcy przemienią się rychło w bezładną gromadę dziko ewakuujących się oddziałów i ludności cywilnej.

Zwycięstwo przyjdzie tak nagle i w takim samym tempie, w jakim dotąd postępowały po sobie sukcesy Hitlera. Warunkiem nieodzownym wymaganym dla urzeczywistnienia podobnego planu, o którym marzą dziś miliony w Europie i na całym świecie—to jak już wspomnieliśmy — zaatakowanie właściwych Niemiec, gdyż tylko w ataku na Rzeszę leży wyjście z obecnego położenia. Jest to jedyna droga dla ostatecznego wygrania partii.

Fryderyk Mally

POLSKIE SKRZYDŁA NAD ANGLIĄ

Wokoło bohaterskiego polskiego dyonu myśliwskiego krążą już legendy.

Walka w powietrzu to istotnie dziedzina zupełnie prawie nowa, zupełnie prawie nieznana szerszemu ogółowi, mimo, że walki lotnictwa w powietrzu były już prowadzone i w ubiegłej wojnie światowej. W tamtej jednak wojnie były to piękne pojedynki powietrzne, czasem starcia kilku, lub kilkunastu samolotów. Dziś lotnictwo występuje w masie, w całym tego słowa znaczeniu. Samolot bombowy dziś, to latająca twierdza, uzbrojona w karabiny maszynowe i armatki szybkostrzelne. Uszykowanie bombowców w powietrzu jest tego rodzaju, że ognie karabinów maszynowych wielokrotnie się krzyżują, zamykając od kilkuset metrów już dostęp ze wszystkich stron do ich szyku. Śmiałek myśliwiec jest narażony na podziurawienie nie tylko swego samolotu, lecz i siebie, dosłownie, na sito. Pociski zapalające, trafiając w zbiorniki z benzyną, powodują eksplozję i pożar samolotu. Trzeba maximum zimnej krwi, opanowania, bystrości umysłu, doświadczenia i osobistych zdolności taktycznych, obok mistrzowskiego prowadzenia samolotu, by móc nie tylko samemu wyjść cało z walki, a tym bardziej zestrzelić przeciwnika. Zawrotne szybkości samolotów dzisiejszych sprawiają, że spostrzeganie, myśl, decyzja i działanie pilotów myśliwskich odbywają się w ułamkach sekund; mała nieuwaga, chwiejność w decyzji i w przeprowadzeniu natarcia—mogą spowodować skutki tragiczne dla myśliwca.

Nasi myśliwcy odznaczają się tymi właściwymi cechami, a prócz tego posiadają olbrzymi temperament, obok silnej woli walki i silnej woli zwycięstwa. Odznaczają się tym samym nasi piloci nie tylko już walczący, lecz również i ci, co jeszcze do walki nie weszli. Tymi samymi cechami odznacza się również i wielka rzesza młodych pilotów, czekających na uzupełnienie swego wyszkolenia lotniczego.

Oto łańcuch wyczynów bohaterskich pilotów słynnego już polskiego dyonu myśliwskiego, biorącego udział w obronie Londynu. Łańcuch ten rzuci choć mały snop światła na trudy walki naszego lotnictwa, rzuci mały snop światła na dziedzinę walki, znanej szerszemu ogółowi z ogólnikowych opisów.

Sierżant pilot A, jako boczny klucza, zestrzelił dnia 2.b.m. jednego Me 109. *Dnia* 6 *b.m., lecąc ostatni w kluczu, osłaniającym dyon, zauważył myśliwców nieprzyjaciela, chcących z nienacka zaatakować jego dyon, natychmiast bez wahania natarł na wrogów i przeszkodził im w działaniach.*

Porucznik pilot B, prowadząc klucz do walki dnia 6 *b.m. wymanewrował przeciwnika, umożliwiając w ten sposób bocznym swego klucza dojście do walki i zestrzelenie przeciwnika.*

Podporucznik pilot C dnia 6 *b.m. jako boczny klucza związał się w walce z myśliwcami nieprzyjaciela, umożliwiając dyonowi dojście do bombowców nieprzyjaciela. Zestrzelił* trzy Me. 109.

Sierżant pilot D dnia 5 *b.m. przytomnością swego umysłu ratuje dowódcę klucza przed zaskoczeniem przez trójkę Me* 109, *wiążąc się z nimi w walkę i zestrzeliwując jednego z nich. Dnia* 6 *b.m. zestrzelił jednego Me* 109. *Ogółem zestrzelił* trzy Me 109 i jednego Me 111.

Sierżant pilot E dnia 6 *b.m. przyjmuje na siebie ataki trójki mysliwców i zestrzeliwuje jednego z nich, Me* 109. *Zestrzelił* trzy Me 109.

Porucznik pilot F dnia 5 *b.m. w ciężkiej walce nad miastem, po rozbiciu wyprawy bombowej przez dyon—gonił uciekające samoloty nieprzyjaciela, aż nad kanał La Manche i tam zestrzelił* bombowiec Ju 88.

Porucznik pilot G dnia 7 *b.m.w walce z przeważającymi liczbą myśliwcami nieprzyjaciela zestrzelił jednego* Me 109. *Podporucznik pilot H w dniach* 7i 11 *b.m.w walkach nad przedmieściami miasta, gdy bombowce nieprzyjacielskie miały rozpocząć bombardowanie, atakiem swoim na nie uniemożliwił im bombardowanie. Zestrzelił w tych walkach* trzy bombowce, Do 215 i jednego myśliwca, Me 109.

Sierżant pilot I dnia 7 *b.m. atakuje wraz z dowódcą klucza trójkę bombowców Do* 215 *i mimo zagrożenia przez myśliwce nieprzyjaciela, zestrzeliwuje* jednego Do 215. Zestrzelił 2 Me 109, 2 Me 110 i jednego Do 215.

Sierżant pilot J dnia 7 *b.m. zaatakował z brawurą zgrupowanie bombowców nieprzyjacielskich i zestrzelił* dwa Do 215.

Porucznik pilot K w czterech walkach, atakując zgrupowanie samolotów nieprzyjaciela, odniósł ze swoją eskadrą szereg zwycięstw. Dnia 7 *b.m. przebił się przez osłonę myśliwską wyprawy bombowej, doszedł ze swym kluczem do bombowców nieprzyjaciela i sam zestrzelił* dwa Do. 215. *Tym swoim manewrem spowodował rozbicie wyprawy, idącej na Londyn i uniemożliwił nieprzypacielowi przeprowadzenie bombardowania. W innych walkach zestrzelił* jednego Do 17 i jednego Me 110.

Porucznik pilot L w 5-*ciu walkach prowadził eskadrę na znacznie przeważającego nieprzyjaciela i odniósł sukcesy. Dnia* 7 *b.m. zaatakował, jako dowódca klucza, szyk bombowców Do* 215 *i będąc zaatakowany przez czterech myśliwców, związał się z nimi walką i zestrzelił jednego. Tym czynem swoim zezwolił bocznym swego klucza na dojście im do bombowców nieprzyjaciela, z których kilka zestrzelili. W innych walkach zestrzelił* trzy Me 109 i jednego He 111.

Porucznik pilot Ł dnia 9 *b.m. zaatakował ze swoim dyonem osłonę zgrupowania bombowego nieprzyjaciela, umożliwiając w ten sposób drugiemu dyonowi, rozbicie tej wyprawy bombowej. Zestrzelił* dwa Me 109 i jednego Do 215.

Podporucznik pilot M w dniach 7,9 *i* 11 *b.m. zestrzelił w walkach dwa* Do 215 i trzy Me 109. *W dniu* 11 *b.m. został zaatakowany przez cztery Me* 109, *związał się z nimi walką, zestrzelił jednego, wychodząc sam zupełnie bez szwanku; umożliwił tym innemu pilotowi zestrzelenie dwu bombowców nieprzyjacielskich.*

Sierżant pilot N dnia 11 *b.m. śmiałym atakiem zestrzelił* dwa Do 215.

Sierżant pilot O w dniach 2, 3, 5, 6, 9 *i* 11 *b.m. zestrzelił w walkach* cztery Me 109, jednego He 113, jednego He 111 i jednego Ju 88. *Wykonał wszystkie powierzone zadania, jako boczny klucza, a tym zezwalał dowódcy klucza na powzięcie dobrej decyzji walki.*

Major pilot P zaatakował zgrupowanie bombowe nieprzyjaciela, składające się z kilkudziesięciu samolotów, lecących pod osłoną myśliwców w sile około 100 *Me* 109 i *Me* 110. *Swoim śmiałym atakiem umożliwił kluczom swego dyonu dojście do nieprzyjacielskiego zgrupowania bombowego i rozbicia go.*

W tych walkach dzielnie sekundują Polakom Anglicy, będący w tym dyonie doradcami i tak:

S/L X—zestrzelił trzy Me 109 *i jednego Do* 17.

F/L Y—zestrzelił jednego Ju 88 *i jednego Me* 109.

F/L Z—zestrzelił trzy Do 215, *jednego Me* 109 *i jednego Ju* 88.

Podane wyczyny indywidualne są przyznane przez odnośne władze lotnicze angielskie.

W walce i pracy tego bohaterskiego dyonu nie ustępuje i lekarz podporucznik, z poświęceniem i zaparciem się siebie wykonując swe obowiązki lekarza, między innymi, w czasie ciężkiego bombardowania udzielił pomocy zestrzelonemu i rannemu pilotowi dyonu.

Ten krótki telegraficzny opis nie może oddać całości pracy i walki polskiego myśliwskiego dyonu. Stwierdza on jedynie słuszność krążących już legend i słuszność miana " bohaterskiego."

Ten krótki opis stwierdza również wartość ogółu lotników polskich, stwierdza ich niezłomną wolę walki, aż do zwycięskiego końca. Świadczy o woli całego wojska polskiego i całego narodu—zupełnego zwycięstwa. Świadczy również o wspólnej woli zwycięstwa naszej i Anglików.

Półkozic

SZKOCJA I SZKOCI

II.*

W poprzednim artykule napisałem, że *Highlanders*, czyli górale szkoccy są pochodzenia celtyckiego, *Lowlanders* zaś, czyli mieszkańcy nizin—germańskiego. Należało by napisać o tym nieco obszerniej.

Jak wiadomo, mniej więcej 2,000 lat temu—cała Wielka Brytania zamieszkana była przez ludy celtyckie, podobnie zresztą, jak i Francja, Belgia i Irlandia. Ludy te przywędrowały z zachodu kontynentu europejskiego i częściowo wytępiły ludność, którą zastały w Anglii. Piszę "częściowo," gdyż dzisiaj jeszcze napotyka się w Walii, a niejednokrotnie i w Szkocji jednostki czarnowłose, o długich głowach i śniadej cerze—dowody wskazujące na to, iż są to potomkowie pra-brytyjczyków, którzy tu musieli mieszkać jeszcze przed najazdem Celtów, i którzy najprawdopodobniej byli bliskimi krewnymi Basków z północnej Hiszpanii i południowo-zachodniej Francji. W każdym bądź razie Celtowie w krótkim dość stosunkowo czasie "zlikwidowali" śniadych tubylców, których nieliczna tylko garść zdołała się uchować w niedostępnych w owym czasie górach Walii i północnej Szkocji.

Starożytni Brytyjczycy (*Ancient Britons*), jak nazywają owych Celtów, byli narodem prymitywnym, pół-dzikim. Kiedy Juliusz Cezar zdobył Anglię kilkadziesiąt lat przed narodzeniem Chrystusa zastał on tubylców, którzy malowali na swych ciałach wielobarwne desenie. Rzymianom jednak nie udało się podbić Szkocji, a więc podczas gdy Celtowie angielscy stosunkowo szybko przyswoili sobie cywilizację rzymską—Szkoci pozostawali nadal w półdzikim stanie. Urządzali oni bardzo częste wyprawy rabunkowe na zamożniejszych od siebie Anglików, to też Rzymianie zmuszeni byli zbudować mury obronne pomiędzy Szkocją a Anglią. Mury te, których szczątki zachowały się po dziś dzień, zbudowane były wzdłuż linii odpowiadającej mniej więcej dzisiejszej granicy angielsko—szkockiej, i ułatwiały one znakomicie żołnierzom rzymskim odpieranie najazdów niezorganizowanych band szkockich.

Rozkładające się powoli Imperium Rzymskie straciło panowanie nad Anglią mniej więcej w tym samym czasie kiedy odbywała się na kontynencie wielka wędrówka ludów. Nastąpiło to na przełomie czwartego i piątego wieku po narodzeniu Chrystusa. Między tą epoką, a wiekiem jedenastym historia Wielkiej Brytanii jest niesłychanie zagmatwana, i na podzieloną na kilka niezależnych królestw wyspę odbywały się ciągłe najazdy, najpierw Anglo-Sasów, potem Duńczyków, wreszcie Norwegów i Normanów.

Anglowie i Sasi przybyli z północnych Niemiec, a ściślej mówiąc z południowego Szlezwiga i zawojowali całą dzisiejszą Anglię, natomiast nie udało im się zdobyć ani Walii ani Szkocji, czemu zresztą nie należy się dziwić, gdyż wychowanym na nizinach Europy północnej wojownikom niełatwo było walczyć na terenie górzystym, zwłaszcza w owych prymitywnych czasach. Anglowie i Sasi zdołali bardzo szybko zniszczyć kulturę łacińską w Anglii, zapuścili świetne drogi rzymskie i spalili miasta, dziesiątkując mieszczan. Czy równie doszczętnie wytępili oni ludność wiejską—niewiadomo, ale należy wątpić czy udało by się niebardzo zresztą licznemu najeźdźcy wymordować mieszkańców dość, jak na owe czasy, gęsto zaludnionego kraju. W każdym razie, choć język celtycki zginął w Anglii prawie bez śladu, cywilizacja celtycka wybiła wyraźne piętno w życiu Anglo-Sasów, gdy początkowa anarchia przekształciła się w końcu w pewnego rodzaju organizacje państwowe.

Natomiast w Szkocji—Celtowie szkoccy ataki Anglów i Sasów skutecznie odpierali, aczkolwiek południowa część kraju dostała się pod panowanie angielskiego królestwa Northumbrii (Edynburg, pierwotnie Dunedin, gród Edina, nazwany został po królu Northumbrii Edinie). Wpływ stosunkowo krótkotrwałego panowania Germanów nad tą częścią kraju był bardzo wielki. Mieszkańcy południowych hrabstw Szkocji, t. zw. *Lowlanders* (ludzie z nizin) i *Borderers* (ludzie z kresów) posługiwali się językiem *Broad-Scots*, językiem czysto germańskim, odrębnym od angielskiego, którym dzisiaj posługują się już tylko ludzie starsi w bardziej odludnych okolicach, albowiem angielski, wymawiany specyficznie po szkocku, stał się już tutaj językiem uniwersalnym, podobnie zresztą, jak i na północy, gdzie wszystkiego koło 50,000 osób jeszcze mówi celtyckim językiem *Gaelic*.

Duńczykom, którzy podbili Anglię, nie udało się zawładnąć Szkocją, a Norwegowie zajęli tylko niektóre wyspy szkockie, na których pozostawili zresztą mnóstwo śladów. Gdy w 1066-ym roku Wilhelm Zdobywca zawładnął Anglią—Szkotom znów udało się zachować niepodległość.

Aż do unii Szkocji z Anglią w roku 1707—ym, stosunki między obu krajami bywały różne, ale przeważnie jednak wrogie, a w najlepszym razie naprężone. Nawet gdy oba królestwa nie wojowały między sobą, zdarzały się bez ustanku, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli "incydenty graniczne," które polegały na tym, że zorganizowane oddziały Szkotów wpadały do północnej Anglii i ograbiały doszczętnie "pas pograniczny." To samo zdarzało się zresztą i w Szkocji właściwej, gdzie ubodzy górale napadali na miasta znacznie zamożniejszych mieszkańców doliny biegnącej od Glasgow do Edynburga. To też dzisiaj jeszcze możemy zauważyć wielką ilość zamków warownych w miastach nad rzeką Forth, oraz w *Border Counties* (hrabstwach kresowych). Obecność licznych zamków w środkowej i północnej Szkocji spowodowały walki pomiędzy poszczególnymi "clanami," czyli rodami, o których pisałem w poprzednim numerze "Polski Walczącej."

Anglicy północni byli do tego stopnia przyzwyczajeni do tych szkockich najazdów, że kiedy w połowie dziewiętnastego wieku dziadek mojego kolegi, stary dziwak, postanowił udać się do Londynu piechotą w towarzystwie kobziarzy i w ten sposób przekroczył granicę wybuchła panika wśród ludności pogranicznej, mimo że już od dwustu lat najazdów szkockich nie było. . . .

Leszek Meyer

* Por. nr. 27 "Polski Walczącej."



Nasi przyjaciele Szkoci (pośrodku Adam Kowalski, znany autor pieśni żołnierskich)
fotografował Antoni Szuber



Nasze przyjaciółki Szkotki (zabawa obozowa w czasie Święta Żołnierza)
fotogrofował Pikiel

Jeden z naszych poprzedników

"Wszyscyśmy do hartu nawykli przez prześladowanie i biedę, dlatego sama najgorsza dola traci nad nami swoją władzę i mniej staje się dokuczliwa. I ja od czasu widzenia się z tobą, miałem dość za swoje. Napaści obłąkanych, złość nieugiętych odpierałem."

Słowa powyższe pisał polski emigrant z Anglii, nie dziś, lecz 100 lat temu. Był nim Krystyn Lach Szyrma, który tak donosił o swym losie Joachimowi Lelewelowi, znakomitemu historykowi. Szyrma postać zupełnie zapomniana znów powraca do życia, dzięki melodii, co po wieku w te same uderza tony.

Po klęsce powstania 1831 roku większość emigracji polskiej udała się do Francji, a tylko nieznaczny odsetek schronił się na gościnnej ziemi angielskiej. Historia uparcie się powtarza. Z żałobą w sercu, z smutkiem, którego nic rozproszyć nie umie—błąkali się po ulicach Londynu nasi pradziadowie. Błąkali się, marzyli i . . . kłócili. Intrygi, podkopywanie autorytetów, niesnaski—czyż to nam tak obce? . . .

Wśród małego światka emigracji naszej w Anglii-Krystyn Lach Szyrma był osobistością wybitną. Poznał on Anglię wcześniej, przyjeżdżał już do niej po raz wtóry. Łatwo mu przyszło wzmocnić dawniej zadzierżgnięte znajomości. Prowadził ożywioną działalność polityczno—naukowo—literacką. Nie był gwiazdą w żadnej z tych dziedzin, lecz jako szczery patriota, człowiek wykształcony, propagator polskości na terenie angielskim zasługuje na naszą pamięć, o którą nie mało mu chodziło, jak się dowiadujemy z urywku jego młodzieńczego listu: "Idą mi wszystkie nauki nie w smak, prócz literatury i wolę już innych, choć zupełnie nie umieć, abym tylko jednej, której jestem amatorem na—sławę zasłużył. A niechby wreszcie i pamięć bytu mojego w potomności była zatarta, jednak będzie mnie cieszyć, żem się starał, jak człowiek żyć i mety przedsięwzięć ludzkich dopiąć. Jeżeli zaś i przyszłego życia będziemy się spodziewać tedy będą może elizejskie radości w dwójnasób powiększone, gdy czciciel Homera, Pindara, Tucyda, Sokratesa uczeń pierwszy będzie miał do nich dostęp."

Krystyn Lach Szyrma—ten nieoficjalny ambasador Polski przez długie lat dziesiątki—urodził się w Prusach Wschodnich w r. 1791. Gimnazjum skończył w Królewcu, a uniwersytet w Wilnie, gdzie słuchał wykładów Euzebiusza Słowackiego, ojca wielkiego poety. Następnie przez 10 lat pełnił obowiązki nauczyciela i opiekuna ks. Czartoryskiego, odbywając z nim długie podróże po Francji i Wielkiej Brytanii. Mieszkając przez 3 lata w Edynburgu chodził na uniwersytet, interesując się filozofią i ekonomią polityczną. W czasie swego pobytu w Anglji napisał dziełko o Polsce, o którym wspominały dzienniki w Anglii, Francji i w Niemczech.

Po powrocie do kraju wydaje trzytomową książkę "Anglia i Szkocja przypomnienia z podróży." Była to pierwsza praca zapoznająca czytelnika polskiego z życiem w dalekiej Anglii. Szyrma starał się dać możliwie najszerszy obraz tego, co widział i przeżył i to mu się wcale udało. Książka jego barwnie napisana daje poznać inteligentnego obserwatora, którego zajmują wielorakie zagadnienia.

Podróż do Anglii kończy okres młodości. Szyrma bierze udział w konkursie na katedrę filozofii w Warszawie i zostaje mianowany profesorem. Od 1825 r. do wybuchu powstania pozostaje na tym stanowisku. Pracuje w tym czasie bardzo intensywnie. Jest nauczycielem angielskiego, w nowo założonym Instytucie Politechnicznym. Wydaje i redaguje pisma. "Pamiętnik umiejętności moralnych i literatury," oraz "Pamiętnik warszawski umiejętności czystych i stosowanych." Ukazuje się jego podręcznik do nauki angielskiego, ze słownikiem.

Gdy w listopadzie 1830 r. wybuchło powstanie stanął na czele młodzieży akademickiej i utworzył gwardię narodową, której był komendantem. Gwardia akademicka, licząca 1200 młodzieży poszła na front. Szyrma towarzyszył jej, był z nią na linji bojowej. Do końca życia z chlubą nosił przysługujący mu wówczas tytuł pułkownika Gwardji Narodowej.

Po upadku powstania, zmuszony opuścić kraj, udał się do znajomej i bliskiej mu Anglii. I oto ten okres od 1832 r. do 1866 tj. śmierci Szyrmy odznacza się wybitną działalnością polityczną, jaką prowadził wśród emigracji polskiej. Stał na czele partji, która od jego nazwiska przybrała miano "Szyrmistów." Na specjalne wyróżnienie zasługuje jego praca propagandowo - dziennikarska. Pisywał ciągle artykuły, poruszające sprawy polskie, zapoznając społeczeństwo angielskie z losem ciemiężonej ojczyzny. Był sekretarzem angielskiego Tow. Lit. Przyjaciół Polski. Redagował wydawane przez Towarzystwo "*Polonia or Monthly reports on Polish affairs.*" Tłumaczył na angielski "Księgi pielgrzymstwa Polskiego," Felińskiej "Wspomnienia podróży." Zajmowała go myśl utworzenia legjonów polskich.

W 1840 r. Szyrma ożenił się po raz wtóry, tym razem z Angielką a potomkowie tej pary żyją dotąd w Anglii, lecz przyjęli nazwisko panieńskie żony Szyrmy—Somerville.

"Życie moje—pisał Szyrma—przypadło na epokę wielkich wypadków. Jednych za dziecinnego wieku byłem świadkiem, albo raczej spostrzegaczem, a za dojściem do lat męskich w niektórych sam nawet miałem uczestnictwo."

Monika Stokowska

Starszy strzelec pancerny Wrzos

(Zdarzenie prawdziwe)



. . . *pod zielonymi namiotami spała brać żołnierska*

Dziwnie doprawdy się działo ze starszym strzelcem pancernym Wrzosem. Już i kompania sarkała na to, a złe gadki krążyły, że chyba to szpieg niemiecki . To znikał na dzień lub dwa jak kamfora, to znów zjawiał się ni stąd ni zowąd na niemieckim czołgu, lub nowym zdobytym motocyklu. I znów jak kamień w wodę ginął, aby się ukazać podczas bitwy, brudny, osmolony jak nieszczęście, walczący po bohatersku pod silnym ogniem nieprzyjacielskich samolotów. I znów jakby się pod ziemię zapadł. Prawda, że wzbogacił on dywizjon pancerny bardzo: wielki niemiecki czołg, trzy nowe motocykle, to ostatnie jego zdobycze. Chytry był na to, jak sroka na świecidełka. Kompania zazdrośnie patrzyła na te zdobycze i wyraźnie sarkała, gdy przepadał tajemniczo. Zwłaszcza, że dziwnym trafem zawsze podczas jego nieobecności silne naloty niemieckich aeroplanów dawały znać, iż dobrze wiedza, gdzie znajdują się czołgi polskie.

Ostatnio widziano starszego strzelca Wrzosa przy uszkodzonym czołgu, który dowódca kompanii kpt. N. obejrzawszy dokładnie, kazał zniszczyć a broń wymontować; a że czas naglił i już opodal padały pociski artylerii niemieckiej i monotonnie grzechotały karabiny maszynowe, zbliżającej się piechoty nieprzyjacielskiej, więc go i tak zostawiono. Ale teraz wobec tych plotek krążących w całej kompanii, ktp. N. postanowił zameldować dowódcy dywizjonu—majorowi Gryfowi, że strzelec Wrzos do tej pory się nie zjawił i że w kompanii istnieje podejrzenie, iż tym razem strzelec ten chciał w taki sposób dostać się do niewoli, co było tym bardziej prawdopodobne, że właśnie z tych stron pochodził. Major Gryf machnął ręką:

—Będzie z nim wreszcie spokój. Jednakże szkoda. Dobry to był kierowca i dzielny żołnierz. Tyle razy się zjawiał, myślę, że i tym razem się znajdzie.—

Rozmowę przerwał jeden z oficerów łączności dywizjonu meldując, iż w tej chwili przejął wiadomość niemiecką podaną przez radio-stację wojskową, z dokładnym opisem miejsca ich dywizjonu. Mimo wielkiego zmęczenia wszystkich, major Gryf za zgodą dowództwa brygady wyznaczył inne miejsce postoju. W kompanii—ba! w całym dywizjonie szeptać zaczęto, iż to znów sprawka Wrzosa.

Noc jednak minęła spokojnie. Pod zielonymi namiotami sosen spała brać żołnierska snem twardym i zasłużonym. Nad ranem jednak można się było przekonać o słuszności przesunięcia oddziałów pancernych w inne miejsce, gdyż poprzednie, zorane bombami nieprzyjacielskimi, poryte lejami—świeciło zniszczeniem. Biedne sosny mazurskie boleśnie prężyły swe poszarpane ramiona ku niebu, jakby prosząc Boga o pomstę. A chłopcy nasi cieszyli się jak dzieci, że tak pięknie "szwabów wykiwali"!

Zjawił się też strzelec Wrzos, wyraźnie jednak ignorowany przez kolegów. Tym razem zajechał uśmiechnięty i triumfujący na nowym niemieckim czołgu. Zameldowano natychmiast o tym dowódcy, który nie tail zadowolenia z tego powodu. Na jego męskiej, żołnierskiej twarzy pojawił się od dawna nie widziany uśmiech, oczy zabłysły wesoło.

—Dajcie mu rumu—rzucił wsiadając do łazika—wieczorem pogadam z nim.—

Ale wieczorem strzelca Wrzosa już nie było—znów gdzieś przepadł. Za to majorowi meldowano, iż zaraz po przyjeździe do kompanii starszy strzelec Wrzos prosił sierżanta o danie mu bańki benzyny i przydzielenie strzelca do pomocy, gdyż widział kilka kilometrów stąd nowy porzucony niemiecki motocykl typu B.S.A. i że ten motocykl bardzo przydałby się dla łączności. Pojadą więc w dwójkę z owym strzelcem na motocyklu, a w niespełna godzinę wrócą dwoma. Oczywiście, szef wyznaczył jednego strzelca, który istotnie wrócił na dywizjonowym motocyklu, ale sam, gdyż strzelec Wrzos znów gdzieś zginął bez wieści, choć miał natychmiast w ślad za nim ruszyć.

— Tak, panie majorze—meldował kapitan N.—tak się jakoś składa, że i to radio niemieckie, i te samoloty, wreszcie ten alarm dzisiejszy ma jakiś dziwny związek ze znikaniem i zjawianiem się Wrzosa. Już w kompanii głośno o tym mówią. Trzeba by jakoś ich uciszyć.

I tym razem major Gryf roześmiał się:

— Et, bzdury panie kapitanie!. Głupie i dziwne przypadki i tyle. To dobry i sprytny żołnierz. Myślę, że znów po drodze złapał jakiś czołg i pora się z nim, aby go sprowadzić i motocykla nie utracić. Jeśli się zjawi, w co wierzę, pilnujcie go i przyprowadźcie do mnie.

Minęło trzy dni, tragicznych i krwawych w tej krótkiej bohaterskiej epopei. Wsiąkło znowu wiele krwi w polską ziemię, tak dzielnie bronioną przez swych synów. Rano czwartego dnia zameldowano majorowi Gryfowi, iż strzelec Wrzos przyjechał na motocyklu B.S.A., właśnie na tym, po który trzy dni temu pojechał. Nie omieszkano dorzucić:

— I znów drań zjawił się w jednej z najgorszych sytuacji dywizjonu!

Tym razem major Gryf nie roześmiał się, zmarszczył czoło, zastanowił się chwilę i rzucił:

Trzymajcie go pod strażą. Wyznaczyć oficera do pilnowania i na pierwszym postoju przyprowadzić go do mnie.

Ale pierwszy postój był daleki. Dwa dni dywizjon brał udział w zażartych walkach, przerzedzony już mocno i wyczerpany doszczętnie. Tym czasem strzelec Wrzos znów zginął. Widziano go jak w czołgu nacierał na wroga, przyznawano nawet, że dzielnie się spisywał.

W niespełna dwa dni zjawił się znowu, tym razem kulejący, obszarpany, zakrwawiony i słaniający się na nogach z głodu i ze zmęczenia: Major Gryf postanowił wreczcie skończyć z nim i mimo nie sprzyjających warunków, skoro go tylko przed sobą ujrzał, zaczął pytać:

—Wiecie już jakie na was ciążą zarzuty. Wiecie, co o was myślą koledzy. Znacie mnie dobrze. Nie mam czasu na pieszczoty. Gadajcie od początku, jak było, a przy najmniejszym kłamstwie—kula w łeb!

Strzelec Wrzos, wysoki, barczysty drab, o niewinnych oczach dziecka, stanął na baczność i zaczął osłabionym, cichym głosem:

—Panie majorze, pod Łaniętami czołg został uszkodzony pociskiem, chłodnica przebita i pas wentylatora zerwany. Dowódca kompanii twierdząc, iż z powodu braku części zamiennych z czołgu nic nie będzie, kazał czołg zniszczyć a broń wymontować. Żal mi się zrobiło maszyny ogromnie—nie mogłem się z nią rozstać, ani jej tak porzucić, uprosiłem więc kaprala, żeby mnie z czołgiem zostawił, a ja jak naprawię, kompanię dopędzę. Pracowałem jeszcze z godzinę, aż wreszcie uruchomiłem maszynę i pojechałem przed siebie. Najwyższy był czas, bo Niemcy strzelali co raz więcej. Dojechałem do Nasielska, tam dołączyłem się do batalionu pułku piechoty, cały następny dzień biłem się, poczem, z powodu braku benzyny oddałem tamtejszemu sierżantowi czołg za pokwitowaniem, oto kwit—dodał, wyciągając z kieszeni zabrudzony kawałek papieru.



. . . *zjawił się słaniający się z głodu i zmęczenia* . . .

Major Gryf spojrzał ciekawie: kwit autentyczny, z datą, i stemplem. Do tej pory wszystko się zgadzało. Szczerość biła z twarzy strzelca, a otwatre spojrzenie niewinnych oczu potwierdzało prawdę wypowiedzianych słów.

—Mówcie dalej! — krzyknął ostro, nie chcąc się poddać uczuciu łagodności i litości.

—Stamtąd poszedłem do Modlina, gdzie zaaresztowała mnie żandarmeria i przetrzymawszy jeden dzień wypuściła, podając rejon Przasnysza—snuł dalej swą opowieść strzelec — maszerując drogą, natknąłem się na nowy czołg, zdobyłem trochę benzyny, zapuściłem motor i odnalazłem dyon. Drugi raz to było tak: zameldowałem panu szefowi kompanii, że widziałem nowy motocykl B.S.A. porzucony w rowie, i że chcę go sprowadzić. Dał mi strzelca i pojechaliśmy. Nim zdążyłem motocykl uruchomić i powrócić, dyonu już na miejscu nie było. Zacząłem szukać i rozpytywać się, aż wreszcie dołączyłem się w bitwie pod Seroczynem. Od tego czasu pilnował mnie kapral, ale jak się zaczęła bitwa i na nas znienacka wyszło natarcie, pan kapral kazał mi wziąć karabin i poszliśmy w bój. W bitwie oddzieliliśmy się od siebie, gdyż zastąpiłem rannego kierowcę czołgu, który koło mnie przejeżdzał, a pan kapral—nie widząc mnie i bojąc się odpowiedzialności—zameldował, że mnie nie ma. Wówię panu majorowi prawdę, jak na świętej spowiedzi. Tak mi dopomóż Bóg—zakończył drżącym głosem.

Zapanowała cisza. Major Gryf przyglądał się strzelcowi badawczo, coś myślał, coś kombinował. Wszystko zgadzało się znakomicie, nie było jednej najmniejszej luki w jego opowiadaniu, najdrobniejszej nieścisłości, wszystko logicznie wiązało się w całość i pokrywało z meldunkami. Chłopak nie kłamał. Prawda biła z jego oczu a drżący głos mówił o wzruszeniu.

—Wierzę Wam, że mówicie prawdę. Uniknęliście cudem śmierci od swoich. Trzymajcie się kompanii. Wyznaczam was z powrotem na kierowcę czołga—możecie odmaszerować!

Znów minęło kilka krwawych dni i nocy jasnych, oświetlonych pożarami miast i wsi polskich. Sytuacja stawała się co raz cięższa. Od zachodu napierały dywizje niemieckie, gęsto padały pociski. I znów wsiąkała krew polska w mech leśny i znów sosny prężyły swe pokaleczone ramiona ku niebu prosząc Boga o pomstę.

Dywizjon pancerny przerzedzony, głodny, bez broni nie mógł dalej walczyć. 24 września zarządzono ostatnią zbiórkę—z ostatków żołnierzy i oficerów.

Ostatnia zbiórka. Ileż w tych słowach bólu i tragizmu! Ile bezsilnej niemocy i szalonej rozpaczy. Wszyscy stoją otępiali i oniemieli, obojętni na ogień artylerii, zrozpaczeni i bezradni. Przed frontem dwuszeregu stoi dowódca—major i głosem rwącym się ze wzruszenia mówi:

—Drodzy chłopcy! Od pierwszego dnia wojny aż do dzisiaj biliście się bez przerwy! Jestem z was dumny tak, jak dumna jest Ojczyzna ze wszystkich żołnierzy polskich. Biliście się dzielnie, połowa z was poległa. Dziś też nie jesteśmy pobici—wojna się nie skończyła!—grzmiał co raz donośniej głos majora Gryfa.—W tej chwili podzielę was na grupki i pod dowództwem oficerów rozejdziecie się w rozmaite strony, być może, na dalsze boje. W imieniu Polski żegnam was słowem—do widzęnia.

Tu głos majora Gryfa załamał się a po jego ciemnej, pooranej bruzdami twarzy potoczyły się łzy, Kolejno podchodził i ściskał wyciągające się do niego ręce chłopców. Podzielił ich na grupy i już spokojny i opanowany, przyłożywszy rękę do hełmu krzyknął:

—Czołem chłopcy!

—Czołem panie majorze—hukneła brać żołnierska, przygłuszając strzały artylerii nieprzypacielskiej.

Już miała paść komenda:

—Rozejść się!—gdy nagle z lewego skrzydła odezwał się nieśmiały, drżący głos:

—Panie majorze! . . .

Wszyscy zwrócili głowy w tym kierunku. Z szeregu wystąpił strzelec Wrzos, wyciągnięty jak struna, blady:

—No, mówcie Wrzos, o co chodzi?—spytał major.

—Panie majorze, rozchodzimy się i nie wiadomo, czy się znajdziemy wszyscy razem. Niech pan major im powie, czy byłem dobrym żołnierzem, bo to straszne podejrzenie. . . .

Więcej nie mógł powiedzieć, tylko łzy, jak grochy potoczyły się mu po twarzy; płakał ten twardy, nieustraszony żołnierz, jak dziecko.

Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Major Gryf podszedł do strzelca, ucałował go w oba policzki i rzekł tylko:

—Oby Ojczyzna więcej takich miała!



Oby Ojczyzna więcej takich miała! . . .

Irena Paczoska

Rysunki Elżbiety Horodyńskiej

GENERAŁ SMUTS

Przed kilkunastu dniami gazety londyńskie przyniosły wiadomość, że generał Smuts, premier Unii Południowo-Afrykańskiej odniósł decydujące zwycięstwo w Parlamencie—innymi słowy Unia postanowiła, czy raczej podkreśliła swoje poprzednie postanowienie walki z Niemcami i Włochami aż do zwycięstwa. Zdawało by się, że jest to jeden epizod wojny—ważny być może, ale ostatecznie nic nadzwyczajnego. Tak też było by w istocie, gdyby nie sama osoba premiera Smutsa, jednego z filarów Imperium Brytyjskiego.

Dokładnie 40 lat temu generał Smuts był wprawdzie już generałem, ale na jego głowę była wyznaczona solidna cena w walucie angielskiej—był bowiem generałem Burów i specjalnie dawał się we znaki Anglikom, tak dalece, że uważano, iż po braku wody, Smuts jest główną przyczyną niepowodzeń angielskich.

Nawiasem warto wspomnieć, że w tych czasach i podczas tejże wojny burskiej pewien młodociany porucznik huzarów angielskich wpadł do niewoli, potem uciekł, potem pisywał korespondencje do gazet, co bardzo nie podobało się jego zwierzchnikom i na ogół wróżono mu, że wprawdzie jest zdolnym młodzieńcem, ale tak postrzelonym, że napewno skręci kark przed osiągnięciem wieku dojrzałego. Nazwisko porucznika huzarów brzmiało — Winston Churchill.

* * *

W połowie ubiegłego stulecia południowy cypel Afryki mieścił w sobie dwie republiki, kolonie angielskie, konfederację Zulusów oraz państwa murzyńskie Bechnaland, Basutoland i Swaziland, albo raczej ludy i terytoria dziś tak się nazywające i całkiem czarne. Wszystko to prowadziło ze sobą nieustającą wojnę. Do tego jeszcze dolał oliwy na ogień Cecil Rhodes, jeden z najciekawszych kolonizatorów angielskich, zagarniając olbrzymie terytoria w sercu Afryki, na korzyść własnej kompanii kolonizacyjnej, dzisiejsze kwitnące kolonie koronne Wielkiej Brytanii—Rodezję północną i Rodezję Południową.

Poczynania i kolonizacja angielska bardzo nie podobały się Burom, potomkom holenderskich osadników z końca XVIII wieku, którzy stworzyli dwie republiki Oranię i Transvaal. Główną bazą angielską była kolonia Przylądkowa—Cape Colony i Natal—również kolonia. Awantury trwały dobrych kilkadziesiąt lat—tam zginął syn Napoleona III-go jako oficer angielski— i wydawało się, że nigdy nie uda się uspokoić tego kraju większego od Europy, na tyle, żeby można było tam spokojnie żyć i pracować. Wreszcie pod sam koniec ubiegłego stulecia sytuacja stała się nie do wytrzymania i wybuchła wojna, zwana wojną burską. Ciągnęła się ona przez trzy lata, zakończyła się na dobre dopiero w 1901 roku, i obie strony, jak często między sąsiadami, prowadziły ją z dużym okrucieństwem. Wreszcie Wielka Brytania odniosła zwycięstwo. Wydawało się, że teraz dopiero zacznie się duszenie "podbitego narodu." Tym czasem stało się coś innego.

* * *

Wielka Brytania i jej mieszkańcy mają, jak wszystkie inne narody i złe i dobre strony, ale, jak się zdaje, właśnie od czasów wojny burskiej złe strony zaczęły zanikać, przynajmniej w polityce międzynarodowej. Bo oto z chwilą, kiedy ustały działania wojenne, kiedy pokój został podpisany, Anglicy nie zaczęli niszczyć burskich instytucji, nie sadzali ich przywódców do obozów koncentracyjnych, nie rozstrzeliwali tysięcy niewinnych ludzi. Wprost przeciwnie, przez parę lat potrzymali garnizony w Transvaalu i Oranie, poczem wycofali je, a w roku 1910-ym czyli w niecałe dziesięć lat po wojnie obie burskie republiki zostały połączone z kolonią Przylądkową i Natalem w jedną całość jako Unia Południowo-Afrykańska z pełną gwarancją suwerenności, a jednocześnie parlament brytyjski nadał nareszcie uspokojonemu krajowi t. zw. statut dominialny czyli uznał go za równorzędnego i niepodległego partnera w wielkiej konstytucji Imperium Brytyjskiego. Wydawało się, że Anglicy powariowali. Ludziom, z którymi dopiero co walczyli dali nie tylko niepodległość, ale i—tak na pozór zdawało by się—własne terytoria w Natal i kolonię Przylądkową. W Unii Burowie byli w większości.

W roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa. Spodziewano się powszechnie, iż w Afryce Południowej wybuchnie powstanie przeciwko Anglii. Stało się inaczej. Afryka Południowa dostarczyła licznych kontyngentów brytyjskiemu korpusowi ekspedyjnemu we Francji, Armia jej, pod wodzą burskich generałów jak Botha, którzy przed 14-tu laty tłukli się z Anglikami biła Niemców w ich afrykańskich posiadłościach. Na konferencji pokojowej w Wersalu Unię Południowo-Afrykańską reprezentował generał Smuts—bohater kampanii przeciw Anglikom.

* * *

Generał Smuts jest z wykształcenia prawnikiem. Może dlatego właśnie jest najlepszym przykładem i symbolem przemian, które zaszły na południowym cyplu Czarnego Lądu. Z początkiem wieku Anglicy byli, w jego zrozumieniu, zaborcami. Przeciwko nim trzeba było walczyć. Smuts bił się walecznie i z dobrym skutkiem. Ale z chwilą angielskiego zwycięstwa Smuts zrozumiał, iż właściwie wojna była nieporozumieniem. Były wprawdzie poważne konflikty interesów, ale dotyczyły one wyłącznie dóbr materialnych—planu, na którym w gruncie rzeczy zawsze można dojść do ładu bez przelewu krwi i awantur. Rzeczy najistotniejszych, o które trzeba bić się i umierać w ich obronie—wolności, niepodległości, całości granic, swobody rozwoju kulturalnego—Wielka Brytania nie tykała i w głowie jej nawet nie powstało je atakować. Smuts, który po wojnie burskiej był nie tylko prawnikiem, ale i żołnierzem zrozumiał to i dał praktyczny wyraz swoim przekonaniom. Jako *Afrikaander*—tak bowiem Burowie nazywają samych siebie—stał się w swoim kraju pierwszym heroldem zrzeszenia narodów wolnych—Imperium Brytyjskiego.

Tymczasem na świecie działo się co raz gorzej. Co raz więcej pojawiało się kandydatów do wszczynania wojen, kandydatów do rządzenia nie tylko ludźmi, ale szarogęsienia w ich duszach. W Unii Południowo-Afrykańskiej rządziła w ostatnich latach partia nacjonalistyczna, antybrytyjska. Wszyscy byli tak dalece przekonani o niezwyciężoności Imperium, że w domu można było sobie pozwolić na oburzanie się na Londyn. Niemcy wyli z radości. Zgniłki angielskie przekonają się, gdzie ich doprowadził wyzysk nieszczęśliwych Burów. Generał Smuts stał na uboczu.

Rok temu, we wrześniu 1939-go roku Imperium Brytyjskie—Wielka Brytania i dominia, wolne i nieprzymuszone, wypowiedziały wojnę Niemcom. Wojnę Niemcom wypowiedziała Unia Południowo-Afrykańska, a na jej czele stanął utalentowany żołnierz i mąż stanu, generał Smuts. Stanął dlatego, iż widział wyraźnie, że Wielka Brytania wyruszając w pole w obronie granic Polski walczy o to samo, o co on walczył z Wielką Brytanią 40 lat temu na spalonych od słońca płaskowzgórzach Afryki Południowej—o ideały, bez których nie warto żyć na świecie. Wojna o nie nie przypomina materialnych rozgrywek o afrykańskie pustkowia i po jej zakończeniu nie będzie kompromisu, jak w 1901 roku. Nie będzie dlatego, że nie może być kompromisu między czarnym i białym, między orłem i reszką. O tym wie i Imperium Brytyjskie i generał Smuts i wiedzą o tym Niemcy.

Czesław Jeśman

Anglia i Anglicy

CZY ANGLICY SĄ ŁAGODNI?—MURY KAPITOLIŃSKIE—"MORALE" POD BOMBAMI.

Nigdzie na całym świecie nie ma tylu towarzystw ochrony żwierząt, lig przeciwko wiwisekcji i stowarzyszeń ochronnych kurki wodnej i dzięcioła, co na Wyspach Brytyjskich. Przed paru laty uniwersytety i wielkie miasta aż ociekały od stowarzyszeń pacyfistycznych, lig przeciw wojnie i starszych panien dla idei tańczących z t. zw. "kolorowymi" po klubach studenckich.

Stąd też nasi utalentowani przyjaciele—wyżsi i niżsi urzędnicy Ministerstwa Propagandy p. ministra dr. Józefa Goebbelsa zdecydowali, że Anglicy oprócz innych objawów zwyrodnienia zapadli na najgroźniejszą gangrenę zniewieściałości demokratycznej, doszli do wniosku, że Anglicy stali się łagodni, a to jest, jak wiadomo, najobrzydliwsza rzecz z nordyckiego i germańskiego punktu widzenia. No i jak się zdaje Niemcy znów fatalnie nie zorientowali się w sytuacji. Z resztą już Johann Wolfgang Goethe był zdania, że są oni ciężcy w koncepcie.

Znany to objaw, iż najwięcej wysiłku skierowujemy na przezwyciężenie najsilniejszych popędów naszego charakteru i bardzo dużo o tym mówimy. Dalej, jest rzeczą pewną, iż jeżeli zajdą okoliczności, które zezwalają na wyładowanie się takich instynktów, to wyładowanie takie bywa nieoczekiwane w swojej potędze.

Trudno było okiełznać gwałtowny i namiętny charakter angielski. Na przestrzeni kilkuset lat dokonano tego Pismem Świętym, łojeniem skóry po szkołach, ideałem gentlemena. Również skutecznie utemperowano go ścisłym określeniem, czego pod żadnym warunkiem nie wolno przyzwoitemu człowie kowi; np. okrucieństwa w stosunku do kobiet, dzieci, zdrady, itp. Wobec człowieka, który tych rzeczy dokonuje, wszelkie hamulce ustają i represja bywa straszna. W czasie t. zw. wielkiego buntu w Indiach rebelianci wymordowali kilkaset kobiet i dzieci. Parę miesięcy później bunt został stłumiony. Morderców kobiet przywiązywano do luf armatnich i rozrywano wystrzałem w kawałki.

Dziś Niemcy dość lekkomyślnie bombardują kobiety i dzieci w Ramsgate, atakują cywilne obiekty, zabijają bezbronne staruszki i dzieci. Anglicy milczą. Mimo to jednak aż skóra cierpnie na myśl o brytyjskim korpusie ekspedycyjnym, który za rok czy dwa będzie stacjonował w Lipsku, Monachium i Essen. Trzeba tylko pomyśleć o przeszłości.

* * *

Gęsi kapitolińskie, jak wiadomo, ocaliły Rzym. Jak się zdaje mewy południowych wybrzeży Anglii też przejdą do historii. Oto w ostatnich czasach stwierdzono, iż zanim jeszcze syreny zawyją, uprzedzają o nieprzyjacielskim nalocie mewy z piskiem uciekające w głąb lądu przed samolotami. Fakt ten stwierdzono, zanotowano, i wyciągnięto wnioski. Na widok piszczącej ławicy mew OPL, nie czekając na hasło otwiera schrony i przygotowuje się do nalotu.

* * *

Ci wszyscy, którzy pamiętnej jesieni 1940 r. mieszkają na wyspach brytyjskich dziwią się często spokojowi i zimnej krwi tubylców w ogniu ciągłych i dotkliwych nalotów. Jeżeli opisy tego męstwa ukazują się w prasie spotykają się często z niedowierzaniem, bo niby z jakiego powodu Anglicy i Szkoci, Walijczycy i Irlandczycy są mężniejsi od wielu innych patentowanie bohaterskich narodów Europy?

Odpowiedź jest całkiem prosta. Olbrzymi odsetek mieszkańców wysp brytyjskich to albo robotnicy, albo marynarze, albo górnicy, albo rybacy. Zajęcia, gdzie śmiertelne niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku, gdzie jedna przypadkowa nieostrożność mimo całego postępu techniki i ubezpieczeń społecznych kończy się co najmniej kalectwem. Niemcy pragnęli przestraszyć Anglików, ale źle się wybrali. Łoskot padających bomb, wybuchy i gwizdki policjantów po nocach nie są niczym nowym. To tylko częstsze i większe sygnały, że sąsiad znajduje się w niebezpieczeństwie życia. Wsie rybackie i wsie zagłębia walijskiego od setek lat żyją pod dźwiękiem sygnału na trwogę. Dla nich nie jest to symbol przerażenia i strachu. Dla nich jest to ciągłe przypomnienie, że życie ludzkie jest pasmem niebezpieczeństw, i że są one regułą, a nie wyjątkiem.

Anna Grey

ABC angielsko-polskie



A.B.C., Lyons i t.p.—Jakże w naszym abecadle nie wspomnieć o tych zakładach? Na innym miejscu mówiliśmy o kawiarnach angielskich. Specjalne miejsce rezerwujemy dla tych niezliczonych "tea-shop" (herbaciarni), wśród których pierwsze miejsce zajmują liczne oddziały wymienionych firm i im pokrewnych, jeśli idzie o Londyn. O każdej porze dnia można tu szybko przekąsić, napić się, odpocząć. Zastrzegam się: niniejsze nie jest płatną reklamą, choć pan Lyons podobno pochodzi z Polski i może jest stałym czytelnikiem naszego pisma? W stworzonych przez niego zakładach legion kelnerek obsługuje legion gości. Herbata jest oczywiście świetna, jak wszędzie w Anglii. Nie dziwcie się, że podają od razu z mlekiem. Kto pragnie się napić herbaty bez mleka musi zamówić "Russian tee" (herbatę rosyjską . . .). Mleko jest wszędzie świetne, alkoholów omawiane herbaciarnie nie podają. Natomiast o każdej porze dnia można dostać kanapki, ciastka i t.p., zaś w południe gorące potrawy. Rzadsze są większe zakłady Lyons'a w Londynie, tak zwane "Corner House" (np. przy Marble Arch, przy rogu Totenham Court Road i New Oxford Street, przy Strand'zie). Są to wielopiętrowe pałacowo urządzone gmachy, w których każdy dobierze sobie salę według własnego gustu: są tu piwiarnie-restauracje w stylu francuskich "brasserie," są kawiarnie w stylu kontynentalnych z doskonałymi orkiestrami; są oddzielne sale herbaciarń-restauracyj dla dam, oddzielne dla panów, są całonocne restauracje; są sklepy, fryzjernie, telefony,—jak jeszcze coś odkryję, to oddzielnie napiszę. . . . Luksus po cenach popularnych! W południe doskonałe i tanie obiady. Każdy czuje się tu, jak u siebie. Usługa pierwszorzędna (To ciągle jeszcze nie jest płatna reklama!). Napiwków podobno się nie daje. Płaci się nie przy stoliku, ale przy wyjściu. . . . Nawet zaufanie!

Hobby—to coś specyficznie angielskiego: występuje "to" nawet jako specjalna rubryka na przeróżnych kwestjonariuszach. Pytają cię niedyskretnie, jakie są twoje "hobby," tak samo, jak pytają o ilość dzieci, zawód, studia. A tymczasem "hobby" to tylko —słabostka, ulubiony "konik," rozrywka, mania, upodobanie. "Hobby" to zbieranie znaczków pocztowych, psów, samochodów, fotografij artystek filmowych czy autografów pokojówek słynnych ludzi; to robienie amatorskich fotografij zwierząt, albo zgoła ludzi, to wycieczkowanie samochodami ciężarowymi lub hulajnogami, to poświęcanie chwil wolnych od pracy na łowienie ryb lub na układanie pasjansa—Czyli wszystko to, co nie interesowało przełożonych ani u nas, ani nawet w innych krajach europejskich, gdzie opieka bywa dosyć niedyskretnie ciekawa. Hobby jest cechą Anglika, upadabniającą go zupełnie legalnie do dziecka: dorosły tu ma prawo bawić się jak dziecko, lecz nie musi się z tym kryć tak, jak u nas. "Hobby" zasługiwało więc na zanotowanie tym bardziej, skoro uwzględnimy zaraźliwość tej cechy: odwiedziłem w Londynie jednego z rodaków—zastałem go nad odpalonymi zapałkami, które sumiennie układał setkami. . . . Inny zbiera już zużyte bilety autobusowe. . . .



Kąpiel—Wobec tego, że nie każdemu dane jest kąpanie się pod deszczem lub też w gościnnym szkockim domu, pozwolimy sobie powiedzieć parę słów o—kąpieli. Bo to wcale nie takie proste! Pewna pani żaliła mi się, że kąpiele są w Londynie szalenie drogie: "w ogóle niedostępne! Jak też ci Anglicy mogą tyle wydawać?" . . . Odpowiedź jest prosta: wydają w rzeczywistości bardzo niewiele, bo 3 do 6 pensów (zależnie od klasy) za wannę wraz z ręcznikami w jednym z bardzo licznych miejskich zakładów kąpielowych. Cała sztuka: trafić właśnie tu, a nie do zakładów luksusowych, bardzo drogich, a napewno nie czystszych. Przy okazji można też sobie wygimnastykować język. Bo to wcale nie takie proste! Proszę posłuchać: "bath" to znaczy——kąpiel (domowa), kąpanie się. Do tego wyrazu wystarczy dostawić na końcu literę *e*—a powstaje kąpiel rzeczna, "the bathe"! "Private bath" to nie prywatna łazienka, lecz oddzielna kabina w zakładzie publicznym. To "private" wymawia się oczywiście zupełnie inaczej (prajwet), zaś "bath" wymówić jest tak trudno, że lepiej pytać policjanta od razu o "swimming-baths"; to łatwiej zrozumie (czyli: łatwiej wypowiedzieć), zaś przeważnie tam, gdzie jest pływalnia, tam znajdują się też te "private" wanny. "Swimming-baths," pływalnia, kosztuje w zakładach miejskich też tylko 6 pensów. Tylko nie wzywajcie "batsman'a"! To nazwa podbijaczy w krikecie. . . . Zaś jeśli "bath" wymówicie tak jak "bat," to was poślą do ogrodu zoologicznego, bo "the bat" to nietoperz. . . . A "Turkish Baths" to po prostu łaźnia, ale dostatecznie droga.



Zygmunt Frenkiel
Rysunki Tefa

Z życia obozów

Święto Żołnierza w obozie lotniczym



Ołtarz w kaplicy obozowej lotników

Jednym z najpiękniejszych wydarzeń dotychczasowego naszego pobytu na gościnnej ziemi angielskiej był obchód Święta Żołnierza Polskiego.

Obchód rozpoczął się w dniu 17 ub. m. Apelem Poległych. Na błoniu pod lasem stanęły zwarte szeregi lotników. Padają słowa rozkazu Naczelnego Wodza o Roku Dwudziestym, o wielkim i krwawym zwycięstwie, o nawiązaniu tradycji do tego okresu, którego męstwa symbolem dzisiejszym stała się bohaterska załoga łodzi podwodnej "Orzeł." Sygnał trąbki. . . . w ciemności padają nazwiska . . . Apel Poległych . . . co padli w służbie ku chwale Ojczyzny. Żołnierze prezentują broń—minuta ciszy przerywana jednostajnym warkotem werbli. . . . Piersi lotników podnoszą się w szybkim oddechu. . . . A potem płynie w przestrzenie chóralna pieśń modlitwy żołnierskiej.

Ranek 18-go. Gęste, ogromne chmury zasnuwają niebo. O godz. 9.30 oddziały stają do przeglądu przez Inspektora Sił Powietrznych. Komendant Obozu wraz z angielskim płk. de Putron składa mu raport. Generał przechodzi przed szeregami i patrzy w twarze żołnierzy. Są mocne, surowe, skupione. . . . Oczy ich mówią, że serca rozumieją czem teraz są dla Ojczyzny.

Odmarsz do budynku, w którym odbędzie się nabożeństwo. Tam w stylowe dekoracyjne ramy ujęty stoi potężny ołtarz, o którym J.E.Ks. Biskup Polowy Gawlina celebrujący nabożeństwo wyraził się po mszy św.: "spodziewałem się zastać ołtarz a zobaczyłem katedrę." Przed mszą św. Czcigodny Duszpasterz poświęcił obraz M. Boskiej Częstochowskiej ufundowany i wykonany przez żołnierzy obozu, który wraz z nami powróci kiedyś do ojczyzny jako pamiątka tych czasów. . . . Na specjalnym pergaminie który stanowi grzbiet wspomnianego obrazu, składają podpisy obecni dygnitarze i żołnierze obozu.

A potem defilada. Mimo że od dłuższego czasu deszcz zmienił się w ulewę. Defiladę odbiera gen. Ujejski w otoczeniu oficerów polskich i angielskich. Lotnicy defilują idąc w strumieniach wody, jak najlepsza piechota.

W południe do wspólnego obiadu zasiadają wszyscy żołnierze obozu wraz z Dostojnymi Gośćmi i miłymi gospodarzami. Gen. Ujejski wygłasza przemówienie na tle własnych wspomnień z 1920 roku. Mówi o zmartwieniach ówczesnego Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, którego troską nie były przegrane bitwy i poniesione klęski, ale obawa czy żołnierz polski złamany odwrotem będzie zdolny do przeciwnatarcia. I w dniu tym pamiętnym, którego 20 rocznicę obchodzimy nastąpił cud, w duszy żołnierza polskiego nastąpiło odrodzenie—poderwał się do boju i zwyciężył. Dlatego też—kończył opowiadanie generał—miałem odwagę zameldować gen. Sikorskiemu, że wierzę i w obecnej sytuacji w duszę żołnierza. Wierzę, że i teraz choć dowoma klęskami złamany zdolny będzie, jak wówczas, do zbrojnego czynu i walki o niepodległość.

Angielski Komendant Obozu w krótkich słowach ujął cele wspólnej, ramię przy ramieniu, walki aż do pełnego zwycięstwa. Ks. Biskup Gawlina mówił o tak ważnej wspólności narodowej i żołnierskim braterstwie. Obecni wiwatowali na cześć Polski i Anglii, walki i zwycięstwa.

Niestety, ciągle trwający deszcz uniemożliwił wykonanie programu popołudniowego. Tak starannie przygotowane imprezy sportowe musiały zostać odłożone do innego dnia. Nastąpiła przymusowa przerwa aż do godz. 20, do chwili rozpoczęcia widowiska—akademii.

Olbrzymi hangar napełniony po brzegi, było ponad dwa tysiące ludzi. Na widowni znajdują się wszyscy dostojni goście i dużo, dużo Anglików. Lśnią w barwnych reflektorach kotarowe dekoracje pokryte emblematami państwowymi i herbami miast naszych, widnieją olbrzymie plastycznie wykonane sylwetki postaci symbolizujących odwieczne walki z Germanami. W głębi znajduje się ekran i mapa Polski; na niej goście angielscy będą widzieli miejsca w których się akcja odbywa.

Widowisko rozpoczyna się przemówieniem i śpiewem Chóru. Wyjaśnienia w języku angielskim podawane są w krótkich momentach między obrazami. Przy ilustracji muzycznej wchodzą w grę wszystkie elementy sztuki i film i śpiew i muzyka, tańce i grające osoby. Przed oczami widzów zaczyna przesuwać się Polska. Polska jakąśmy pozostawili. . . . Ukazuje się Gdynia Poznań, Kujawy, Mazowsze, prastary Kraków, Wilno, Lwów, Tatry, Polesie, Śląsk, Częstochowa . . . i widzów porywa taniec . . . kujawiak, oberek, brawurowy krakowiak i szalony "zbójnicki." Pięknie tańczą je w barwnych narodowych kostjumach, w cztery pary, nadobne Angielki z polskimi partnerami; . . . Brzmią polskie pieśni ludowe, przechodzą pielgrzymki — tej, dalekiej dla nas dzisiaj a tak bliskiej Polski . . . Część widzów nie może powstrzymać łez płynących po twarzy. . . .

A potem finałowy fragment—Warszawa; Warszawa wśród której gruzów leżą trupy obrońców i jeden tylko skrwawiony, pozostały przy życiu w porywającym wierszu wskrzesza minioną przeszłość. Z dala odpowiadają mu jak echo przytłumione głosy, że tą Polską—jesteśmy My, ci co padli i ci którzy żyją. . . .—wzrastają ognie płomieni, brzmi hejnał "Warszawianki" — polegli powstają . . . wznoszą się młoty, kosy. . . . z boków wciąż tłum napływa, dzieci, kobiety, żołnierze . . . Lśnią ostrza bagnetów skierowane ku—wrogom . . . Bije o strop budynku: "Hej kto Polak na bagnety." . . .

To obraz Polski—walczącej. Widownia szaleje; Polacy, Anglicy—płaczą . . . potem ryk, brawa, gwizdy Anglików (jest to ich forma wyrażania największego zachwytu).

Reflektory gasną—scena ulega zmianie, wychodzi chór, śpiewa hymny polski i angielski. Akademia skończona.

Entuzjazm jaki panował wśród widzów obu narodowości trudno słowami odtworzyć. Młodzi i starsi, wszyscy pod urokiem i czarem dopiero co wchłoniętych wrażeń, z rozpromienionymi oczami dawali świadectwo swego zachwytu i szczerego podziwu. Goście angielscy mówili, że po raz pierwszy mieli sposobność zobaczenia czegoś tak oryginalnego, tak barwnego, tak pięknego. Dopominali się o tłumaczenia tekstów, pisanie piosenek. . . . Myśl polska święciła tryumf w dniu swojego święta. Potrafiliśmy porwać nawet chłodnych Anglików. A nie było to niczym więcej jak związaniem ciągłości motywów i akcji i daniem mu duszy polskiej.

Miło było potem rozmawiać z Polakami z widowni. Czuli się dumni, że należą do tej samej rodziny, o której tyle piękna przed chwilą pokazano. Padały słowa pełne zapału, ofiarności i wiary. Rozdzwoniły się serca. Osiągnięte efekty ożywiły wiarę we własne możliwości i we własne siły.

Dzień święta nie był tylko kalendarzowym świętem. Był prawdziwym świętem Polaków, z dalekiej, mglistej Anglii mającym iść ku Polsce.

N.N.

Pan Prezydent i Wódz Naczelny w obozie nr. 2

W głębi pagórów i lasów serdecznej Szkocji położony nasz obóz—gościł najwyższych dostojników walczącej Rzeczypospolitej Polskiej: Pana Prezydenta Władysława Raczkiewicza, generała Władysława Sikorskiego, i biskupa polowego, księdza Gawlinę.

Na wiele dni przed wizytą na wszystkich pobliskich szosach słychać było miarowy, równy łomot. To krok naszej piechoty, która do doskonałości i może do samozniszczenia szlifowała nie tylko i nie tyle swe nożne umiejętności, ile i asfalt i szuter szkockich dróg. Po łąkach unosiły zaciekawione łby płochliwe króliki, dziwiąc się i strasząc nieznanym im być może od czasów Macbeta łomotem. Okolicznym dziewczętom z za opłotków falowały wzruszeniem piersi;—

—*Polish soldiers, very, very good!*

Czymże piechota przyjmie widome symbole naszej bojującej Ojczyzny—jeśli nie miarowym, jędrnym, radosnym, do zwycięstwa wiodącym krokiem!

W przeddzień uroczystości: wartownię i posterunki obwiedziono narodowymi barwami. Prawda, Polska, żyjąca na ostrzach naszych bagnetów, w sercach ludzi nieustannej walki—tchnie dzisiaj przestrzenią tego oto obozu wśród gór i lasów szkockich. Obozu numer 2.

Ten i ów z kumpli, karabiniarz, czyli też zwykły "zając" z którejś strzeleckiej kompanii—pucował się jak tylko zdołał, przygotowywał się swą sprawnością żołnierską, prezencją, i serce nastawiał na przybycie gości. Naszych gości. Żołnierskich gości.

—Cóż to za "ony" ma być przyjachany, kole którego będzie takie wielgie święto—pytał nas namiotowy współkamrat, dziewiętnastoletni górnik z Polonii emigracyjnej w Belgii, "Wickiem" przez nas ochrzczony.

—Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjedzie, Wicek—tłumaczymy—przyjedzie razem z generałem Władysławem Sikorskim i szeregiem innych przedstawicieli naszych władz państwowych—każdy na swój sposób przekłada.

—Aha, to przed "Onym" bedzie defilada. . . .

Następnego dnia po bardzo wczesnej pobudce, odziani w strój patrolowy, karabiny na ramieniu—równym, miarowym, wytłuczonym i po Karpatach, i po Francji, i nawet już po szkockich drogach krokiem maszerujemy na jaśniejącą zielenią łąkę, gdzie odbędzie się msza polowa, i skąd wyjdą oddziały defilady.

. . . łąko, łąko pamiętna, gdzie gen. Sikorski po raz pierwszy zetknął się z naszym turnusem Szkoły Podchorążych Piechoty. . . .

Mamy szczęście. Niebywałe szczęście. Deszcz kapryśny zawiesił swoją działalność. Jest błękit i pogoda. Przychodzimy jedni z pierwszych. Przed nami są zaledwie zmotoryzowane "okaery." Nic dziwnego. Zmotoryzowane. Za nami walą żółte ułany, artyleria, towarzysze pancerni i antipancerni, oraz sapery nieznane bohatery. . . . Poczciwy i morowy nasz Kościany Dziadek, jak fryga biega, troszcząc się o bieżące zagadnienia opeelowe.

Wreszcie—nadciągają goście. Najpierw generał dowódca brygady. No, ten to jest gospodarz. Rozmaici dygnitarze polscy, angielscy, szkoccy. Czerń oficjalnych strojów i polowe mundury wojskowych ubarwia kolorowy przepych lordów miast Szkocji. Potem. . . . Wzruszeniem drga polskość w człowieku, kiedy oto widzi siwą głowę Prezydenta. Przybywa Naczelny Wódz—z dala, ponad szeregi odznaczający się wyniosłą sylwetą pierwszego z nas, jego żołnierzy.

Orkiestra, pierwsza polska orkiestra odrodzonego w Szkocji naszego wojska. Hymn polski i hymn angielski. Łopocą w górze flagi, brytyjska i nasza.

Zaczyna się nabożeństwo, gdzie staropolskim rycerskim zwyczajem w odpowiednich miejscach liturgicznych — prezentujemy broń!

Nabożeństwo. Po nabożeństwie kazanie księdza biskupa polowego. Wreszcie przemówienie Pana Prezydenta. Było to bardzo piękne przemówienie i prawdziwie na duchu podnoszące. Znacie je z radia i z "Polski Walczącej," więc zbędne powtarzanie. Na pewne szczegóły przemówienia zwróciliśmy uwagę: na siłę przekonania, bijącą z głosu Prezydenta, na wymowne zestawienie niemieckich zbrodni, dokonywanych na Polsce, na szczerze głęboką wiarę w przyszłość naszego narodu. Dużo i uważnie pośród żołnierskich szeregów rozważano i komentowano mowę. Komentarz był szczegółowy, lecz pełen zrozumienia i serdeczny. Po mowie wysłuchano w skupieniu rozkazu Naczelnego Wodza, wydanego w rocznicę najazdu na Polskę.

Jeden z oddziałów, a mianowicie popularnie przez nas zwane "okaery" otrzymał sztandar, uroczyście wręczony przez Najwyższego Dostojnika.

Lecz oto zbliżać się począł czas defilady. Pustoszało z cywilów pobliże polowego ołtarza. Migały samochody koło pilastrów wzniesionych przemyślnym saperskim kunsztem.

Wreszcie wyruszamy. Czytelniku, jeśliś nigdy nie nosił żołnierskiego munduru nie wiesz, wiedzieć nie możesz, co znaczy nurt defilady. Oto podrywasz się na baczność, Karabin fruwa "na ramię broń," i potem wszystko grzmi w rytmie defiladowym. Defilada w prawo. Orkiestra rżnie marszowe kawałki, kawałek za kawałkiem. A ty, ani się spodziejesz, kiedy już lecisz na baczność pierwszym bucem w asfaltową drogę.

Idę w drugiej trójce, środkiem. Jestem jednolitym rytmem całkowicie zautomatyzowany. Ręka do pasa. Głowa obrócona ku prawemu skrzydłu. Na trybunie wysoki, szczupły pan. Siwa głowa. To Prezydent. Obok gen. Sikorski wpatrzony w nas z uwagą i miłością, nasz dowódca gen. Paszkiewicz, cywile, wojskowi, Polacy i Anglicy, a po bokach zbita masa ludności szkockiej. Migiem przelatujemy obok trybuny, wpatrzeni regulaminowo w odbierającego defiladę. I każdy z nas widzi nie tylko trybunę, nie tylko Prezydenta i gen. Sikorskiego, ale Polskę, ale swój dom rodzinny na szlakach drogi dalekiej, oj, strasznie dalekiej. . . .

W godzinach popołudniowych—dostojni goście odwiedzili nasz piechociński obóz. Zaszczycili swojemi osobami nasze skromne, żołnierskie, obozowe ognisko.

Pan Prezydent i Wódz Naczelny byli wespół z wiarą żołnierską, społem na jednym ognisku. W otoczeniu tych samych miejsc, gdzie na co dzień sposobimy się złamać przemoc, a wykuwać wolność tam, gdzie tę wolność dręczą.

Wawrzyniec Czereśniewski



Pan Prezydent podpala ognisko żołnierskie

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

Wszystkie pisma amerykańskie pełne są wiadomości, wspomnień i notatek o losach wojska polskiego we Francji, a przede wszystkim o oddziałach polskich w Anglii. Obszernie jest omawiana umowa wojskowa polsko-angielska zawarta przez Generała Sikorskiego. "Nowy Świat"—zamieszcza piękne, nieznane w Anglii, zdjęcie Generała i Churchila gdy w otoczeniu tych, którzy im towarzyszyli przy podpisaniu umowy opuszczają Downing Street.

Rocznica zwycięstwa Wojsk Polskich nad bolszewikami w sierpniu 1920 r. zapełnia łamy pism. Drukowane są wspomnienia z tych czasów i liczne artykuły poświęcone narodzinom Armii polskiej podczas wojny światowej, oraz wojnie z Rosją.

Specjalny dział zainteresowania naszych rodaków amerykańskich stanowią oryginalne listy, nadchodzące do Stanów od żołnierzy polskich, którzy bądź brali udział w walkach we Francji, bądź obecnie walczą wraz z Anglikami w obronie wysp brytyjskich. Wiele takich listów, pisanych do krewnych a przez nich życzliwie udzielonych do wiadomości rodakom, drukuje "Dziennik dla Wszystkich," oraz "Nowiny Polskie." W jednym z numerów tego pisma adwokat Ludwik Czajka, ogłasza list otrzymany od brata Ignacego, lotnika polskiego. List zawiera taki ustęp—"Teraz gdy zobaczyłem, jak w krótkim czasie takie mocarstwo, jak Francja upadło, nabrałem większego szacunku dla naszej porażki—obecnie nie boli mnie ona tak bardzo, gdyż zrozumiałem, że nie byliśmy się w stanie bronić dłużej. Dumny jestem z naszej Ojczyzny. Potrafiliśmy i potrafimy do szczęśliwego końca utrzymać nasz honor i tradycję polskiego żołnierza." W innym numerze "Nowin Polskich" zamieszcza list swego syna Leona, oficera W.P.—dr. H. Szoskies, dyrektor Amerykańskiej Federacji Żydów. Młody p. Szoskies pisze: "Ulokowano nas w przepięknej i zacisznej wiosce szkockiej, wśród gór—Mieszkamy w namiotach i zajadamy się pysznymi potrawami. Jestem znowu gótów walczyć za Polskę, Anglię i ludzkość." Wszystkie te listy i wiadomości o żołnierzach polskich podawane są na pierwszych stronach dzienników, często wielkim drukiem. Widać jak serdecznie interesują społeczeństwo polskie w Stanach.

Wiele pism amerykańskich, przede wszystkim poważny "Nowy Świat" prowadzi kampanię przeciw amerykańskim defetystom. Redaktor "Nowego Świata" p. P. Yoles rozprawia się w kilku artykułach z płk. Lindbergiem, którego prasa amerykańska, po jego wynurzeniach przez radio, ogłosiła "szefem amerykańskiej piątej kolumny." Inne pisma też ostro i zdecydowanie piętnują samolubstwo i defetyzm tu i ówdzie w Ameryce występujący—i całym swoim wpływem popierają udzielenie wybitnej pomocy Anglii, przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny we właściwej chwili, rekrutację powszechną i co najważniejsze ponowny wybór Roosevelta. Stanowisko to jest tak jednolite i powszechne wśród prasy polskiej, iż można śmiało powiedzieć, że 4-ro milionowa Polonia w Stanach idzie w awangardzie interwencjonizmu Ameryki.

"Naród Polski" organ zjednoczenia polsko-rzymsko-katolickiego, piętnuje w obszernym artykule pacyfistyczną robotę prowadzoną przez niektórych księży katolickich (przeważnie Irlandczyków). "Naród Polski" oskarża tych księży, że nie tylko rozdają pośród parafian pisma poświęcone pacyfizmowi i nawołujące do pokoju za wszelką cenę, ale że nawet wprost występują przeciw Prezydentowi, oskarżając go o przygotowywanie wojny: "Ta agitacja"—pisze "Naród Polski"—"prowadzi nie do Pokoju Bożego, nie do Pokoju Chrystusowego, ale do pokoju za cenę hańby, do pokoju szatańskiego."

Inne pismo—"Wiadomości Codzienne" wychodzące w Cleveland,—zamieszczają ciekawą wzmiankę o ożenkach ze strachu. Rzekomo wielu Amerykan zawiera na gwałt związki małżeńskie, aby nie potrzebować służyć w wojsku, gdyż wniesiona na Kongres ustawa przewiduje służbę tylko dla nieposiadających rodziny. "Taka jest sytuacja w Ameryce" piszą "Wiadomości"—"ludzie chcą żyć w wygodzie i cieszyć się wolnością, ale gdy przyjdzie bronić tej wolności, to wykazują tchórzostwo—czyli, że na wolność wcale nie zasługują."

Ciekawe rozważania spotykamy w wielu pismach amerykańskich na temat przyszłego współżycia Polaków z Ukraińcami, Litwinami i innymi ludami zamieszkałymi na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. "Dziennik Polski" z Detroit, powtarza za "Pittsburczaninem" wywiad z prof. Granowskim i innymi działaczami ukraińskimi z okazji Zjazdu Ukraińców Amerykańskich. W wywiadzie tym, prof. Granowski oświadcza: "Polsce życzymy jak najlepiej, i dlatego nie poruszamy żadnych dawniejszych zatargów, ale wiązać się z nią nie chcemy—chyba może w dalekiej przyszłości, traktatem wzajemnej obrony." "Pittsburczanin" podkreśla radość z zajęcia przez Ukraińców Amerykańskich zdecydowanie antyhitlerowskiego stanowiska, a równocześnie podkreśla, że zrozumienie konieczności bliższego związania się z Polską i pełnej współpracy niezawodnie niebawem nastąpi.

Zawarcie przez Francję osobnego pokoju ciągle jest komentowane, w sposób dla rządu Pétaina niekorzystny, przez wszystkie pisma polskie w Ameryce. Niektóre wprost pomawiają część społeczeństwa polskiego w Europie o błąd zaufania Francji i liczenia na jej rzekome wartości. "Nowiny Polskie"—krytykują tych co w Polsce żywili zaufanie do wszystkiego co zachodnio-europejskie, a z nieufnością odnosili się do tego, co czysto polskie. "Tym czasem"—twierdzą "Nowiny"—"jedynie Polska wykazała mimo porażki wojennej zwartość wewnętrzną i jednomyślną nieugiętą postawę do dziś—gdy skapitulowała już cała Europa z Francją na czele."

Jak "względnymi" są dobrodziejstwa pokoju—świadczy statystyka wypadków przy pracy w Ameryce w r. 1939—zamieszczona przez "Nowiny Polskie." Okazuje się, iż śmierć poniosło w związku z codziennymi zajęciami zawodowymi ponad 14.600 osób—91.500 zostało kalekami na całe życie, a 1.250.000 odniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Charakterystyczne, że najwięcej wypadków śmierci—bo 4.300 było w rolnictwie, stanowiącym przecież w naszym pojęciu ideał pracy "pokojowej."

Na zakończenie—nieco humoru. "Dziennik dla wszystkich," w artykule p.t. "Panna Czarczyńska Zbiera Dalsze Laury"—opisuje "z dumą" sukcesy taneczne rodaczki naszej 14-letniej Edyty Marii Czarczyńskiej—Między innymi "Dziennik" podaje:

"Ostatnio panna Edyta, mając założoną jedną nogę na ramieniu, na jednej nodze skakała przez sznur, dokonawszy tak uciążliwego skoku 50 razy z rzędu. Po raz czwarty dokonała swego zadania, dotąd nie pokonana przez nikogo. Dlatego też p. Ripley umieścił jej fotografję w obrazkach zatytułowanych "Believe it or not" (Wierz albo nie wierz).

Jerzy Pomian

Skrzynka pocztowa

Drogi pani Redaktorze,

Wreszcie zdobyłem się na odwagę, by napisać do Pana—jako do Redaktora—kilka słów podziękowania za trud i pracę włożoną przy wydawaniu "Polski Walczącej." Doprawdy artykuły i felietony są co raz bardziej interesujące i przez nas wszystkich z ogromnym zaciekawieniem czytane.

Pismo "Polska Walcząca" jako gazeta żołnierska najwięcej z wszystkich pism poświęca miejsca sprawom wojskowym, życia w obozie, wojaczki i dlatego jest nam tak bliskie. Dobrze jest, że pisarze polscy pamiętają o żołnierzach i mogę Pana zapewnić, że ich praca, jak i nasza nie pójdzie na marne.

Żałujemy tylko, że poza kilkoma listami drukowanymi jeszcze we Francji, nie ma w "Polsce Walczącej" felietonów Zygmunta Nowakowskiego. Artykuły Pana Nowakowskiego były zawsze bardzo wesołe i ciekawe i czytaliśmy je bez tchu. Spotykamy tutaj dużo Polaków, którzy służą w Armii Kanadyjskiej. Było by ciekawe, gdyby Pan Nowakowski nam coś napisał o Polakach w Kanadzie i Ameryce.

Jeszcze raz zapewniam Pana Redaktora, że w długie dnie deszczowe czytanie "Polski Walczącej" sprawia nam dużo radości i niech to będzie dla Pana zachętą do pracy.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Strz, z cenz. Tomaszewski Z.

* * *

Pragnę wyrazić szczere uznanie wydawcy pisma "Polski Walczącej." Jest to pismo, które czytam zawsze ze wzruszeniem, tchnie ono prawdziwym, głębokim patriotyzmem, nie wdaje się w żadne spory stronnicze, artykuły jego są zawsze ogromnie ciekawe, proste i dostępne. Jednym słowem daje czytelnikowi pełne zadowolenie. Takie pisma trzymają nas na duchu i pozwalają łatwiej przetrwać ciężkie chwile z dala od kraju ukochanego. Serdeczne "Bóg zapłać."

O. Z.

KOMUNIKAT

Zarząd Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie niniejszym podaje do wiadomości członków Stowarzyszenia, że:

1. biuro Zarządu Stowarzyszenia mieści się w lokalu Rady Narodowej R.P., obecnie 23, Beaumont Street, London, W.1, zaś od d. 18 września r.b. —39, Portland Place, London, W.1; i jest czynne w czwartki w godz. 18-19;
2. składki członkowskie należy przesyłać co miesiąc do biura Zarządu na imię Skarbnika p. Witolda Łęgowskiego przekazem pocztowym /"Postal Order"/ lub też znaczkami pocztowymi;
3. Zarząd Stowarzyszenia poczynił starania o zorganizowanie kursów języka angielskiego i prosi członków, pragnących uczęszczać na te kursy, o niezwłoczne skomunikowanie się z Wiceprezesem Zarządu p. Wójcickim /biuro Rady Narodowej R.P., 23, Beaumont Street, London, W.1, tel. WELbeck 7203/;
4. w najbliższym czasie rozesłany zostanie do członków Stowarzyszenia kwestionariusz, który należy niezwłocznie wypełnić i przesłać do biura Zarządu.

PRENUMERATA "POLSKI WALCZĄCEJ"

Na liczne zapytania odpowiadamy, że prenumeratę (miesięczną lub kwartalną) można załatwiać za pośrednictwem:

a/oddziałów f-my W. H. Smith and Son.

b/innych kiosków gazetowych z powołaniem się na Continental Publishers, Ltd., 34, Maiden Lane, London, W.C.2, jako źródło dostawy.

W ten sposób czytelnicy będą mogli w większości wypadków zaoszczędzić na przesyłce pocztowej, która w Anglii wynosi pensa od numeru.

Przegląd polityczny

—*Jakie było najważniejsze wydarzenie ostatniego tygodnia?* Odpowiedź wypada jednogłośnie we wszystkich kołach angielskich: *bombardowanie Pałacu Królewskiego.* Z bardzo niewielkiej odległości widzieliśmy te bomby, które uderzyły w Buckingham Palace i słyszeliśmy ich przeraźliwy świst. Ale dopiero dzisiaj można ocenić ogrom echa, jakim się odbił huk tych pocisków w całym imperium, więcej, w całym świecie anglo-saskim. Osoba króla jest symbolem jedności olbrzymiego państwa, w którym nie zachodzi już od wieków słońce. W tej chwili, tak niezwykle poważnej, fakt, że bomby niemieckie uderzyły w dom króla, że król i królowa tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknęli śmierci, że władca W. Brytanii narażony jest na niebezpieczeństwo, jak każdy mieszkaniec City lub przedmieść, jak każdy żołnierz w Dover lub Portsmouth, że Jerzy VI. dzieli te wszystkie ciężkie godziny ze swym narodem—ten fakt umacnia jedność imperium silniej, aniżeli wszystkie konferencje, ugody i traktaty. Z ust do ust idzie wieść przez Londyn a z Londynu na cały świat, że w kilka minut po bombardowaniu Pałacu Buckingham król i królowa wyjechali, aby obejrzeć szkody we wschodniej części miasta, że rozmawiając z ludźmi, których domy zburzyły bomby hitlerowskie ani słowem nie wspomnieli, iż ich własny dom został uszkodzony. *Jerzy VI. staje się tak popularny jak królowie z dynastii Tudorów, a wojna obecna przypomina żywo tę reakcję społeczeństwa za czasów Elżbiety, kiedy Anglii groziła Wielka Armada—ogromna flota hiszpańska.*

I naród angielski okazuje się godny powagi chwili. Słowa Churchilla o konieczności trwania na posterunku, przypominają słynny rozkaz Nelsona w czasie bitwy pod Trafalgarem:

—*Anglicy, każdy z was musi spełnić swój obowiązek.*

Obowiązek ten spełnia społeczeństwo brytyjskie z podziwu godną odwagą. Od tygodnia nie ma prawie przerwy w atakach powietrznych na Londyn. Od tygodnia padają na miasto całe tonny bomb. Ale życie idzie swoim trybem, wszystkie fabryki pracują, a oblicze Londynu jest poważne i skupione lecz zadziwiająco spokojne.

—*Nadchodzący tydzień może być najważniejszy w historii W. Brytanii*—mówił Churchill.

Tak jest. Hitler za wszelką cenę pragnie wykorzystać czynnik czasu, który w tej chwili stanowi w jego grze poważny atut. *Za miesiąc, za dwa—będzie już za późno.* Produkcja angielska i amerykańska przewyższy nie tylko pod względem jakościowym, ale również ilościowym produkcję niemiecką, zwłaszcza w dziedzinie lotnictwa. *Poza tym, każdy tydzień oporu, każdy odparty nalot, każda wiadomość o zwiększeniu nasilenia obrony wyspy zwiększa szanse wejścia do wojny Stanów Zjednoczonych z całym ich druzgocącym dynamizmem gospodarczym.* Wie o tym Hitler—i dlatego bomby niemieckie walą nieprzerwanie w domy, muzea i szpitale londyńskie. Stolica Anglii jest drugim miastem, które się nie ugięło przed bombardowaniem i całą grozą wojny współczesnej. Pierwsza była Warszawa i z doniosłości tego poświęcenia zdaje sobie dzisiaj sprawę już każdy mieszkaniec imperium.

Nieprzyjaciel, z którym walczymy, ceni i uznaje jedynie i wyłącznie czynnik siły. Ci, którzy się ugięli nie przedstawiają dla niego żadnej wartości, podobnie jak układy z rządami i państwami, które egzaminu dziejowego zdać nie potrafiły. Tę historyczną prawdę przyjmuje z goryczą do wiadomości rząd w Vichy. Według doniesień amerykańskich, Niemcy postanowili skończyć z "niezależnością" wolnej jeszcze części Francji. Miano ponowić żądanie wydania floty oraz demobilizacji armii w północnej Afryce. Mussolini, pragnąc koniecznie wykazać się jakimś poważniejszym sukcesem—domaga się okupacji Tunisu. W kołach politycznych mówi się o żądaniach, wysuniętych przez Niemcy, a tak ciężkich, że pod grozą dyskwalifikacji honorowej nie może ich przyjąć żaden, nawet najbardziej ugodowo nastawiony rząd francuski.

W związku z tym podaje się ciekawą wiadomość, *że flota francuska, która dotychczas stacjonowała w Tulonie, podniosła kotwicę i odpłynęła do Dakaru. Pierwszą część tej ekskadry widziano już w Gibraltarze.*

W Europie Środkowej i na Bałkanach odbywa się w dalszym ciągu dzielenie zdobyczy, a raczej częściowe zaspakajanie nienasyconego głodu Niemiec. Zdaje się, że na pierwszy ogień pójdą Węgry. *Wzamian za Siedmiogród, który wymuszono na Rumunii, Berlin żąda "poważnych ustępstw gospodarczych."* Innymi słowy, chodzi tu o niczym nieskrępowaną kontrolę nad zbożem i w ogóle węgierskimi zapasami żywności. Jest to, jak słusznie zaznacza prasa angielska, wcielenie Węgier do "życiowego obszaru Rzeszy," dokonujące się na razie w formie uzależnienia gospodarczego. Jakżeż smutno wygląda na tym tle polityka włoska i słynny "mur Trajana" tak wymownie reklamowany przez Mussoliniego! Po utracie Austrii, po całkowitym wyrugowaniu wpływów włoskich w Rumunii przez Niemcy a w Bułgarii i Jugosławii przez Rosję—*roztacza się nad Italią co raz to groźniejszy cień olbrzymiej potęgi, wobec której Austro-Węgry, "geograficzne niebezpieczeństwo Włoch"—było dziecinną igraszką.* Jakżeż śmieszne są w tej chwili owe tyrady na temat "odrodzonej potęgi Cezarów," którymi ujednostajniona i w całości faszystowska prasa włoska stara się odurzyć swoich czytelników!

"Na Włochy—pisze korespondent jednego z wielkich dzienników amerykańskich—*schodzi jakby noc niepokoju.* Ma się podobne wrażenie, jak we Francji przed katastrofą: *w powietrzu czuć zapowiedź klęski.* Twarze ludności są ściągnięte—i nic nie przypomina tych "zwycięskich nastrojów," o których tyle się pisze w rozmaitych urzędówkach. Wielkie, stare, łacińskie społeczeństwo, wiedzione trafnym instynktem, zdaje sobie sprawę, że droga, na którą weszła Italia—jest więcej niż niebezpieczna."

I nie jest pozbawiona swej charakterystycznej wymowy pogłoska, którą notuje prasa angielska: *we Włoszech, nawet w kołach faszystowskich, mają wzrastać dążności za zawarciem odrębnego pokoju z Anglią.* O równowadze "osi" nie ma mowy, przewaga niemiecka jest uderzająca, i mnożą się głosy, aby po "uregulowaniu kwestji kolonialnej"—wrócić do tradycyjnej polityki dobrych stosunków z Wielką Brytanią. Nie ulega wątpliwości, że w razie załamania ofensywy niemieckiej te opinie, wyrażane dzisiaj jeszcze szeptem i niezwykle oględnie—przybrałyby na sile.

Karol rumuński został wyekspediowany do Portugalii a drugi raz już panujący król Michał powierzył generałowi Antonescu sformowanie nowego gabinetu. Rząd, który powstał w Bukareszcie, jest w 100% filoniemiecki, nazistowski zarówno pod względem programu wewnętrznego, jak i każdego innego. Otóż tego rodzaju stan rzeczy zaczyna nie na żarty trwożyć Rosję. W Moskwie wyrażono wielkie niezadowolenie z powodu układu wiedeńskiego. Sowiety mają pretensje, że nie pytano się ich o zdanie. Wysuwa się nawet projekt częściowej rewizji traktatu. *Sfinks rosyjski kręci się na swym bolszewickim piedestale co raz niespokojniej.*

W skróconym a raczej bardzo przyśpieszonym trybie powtarza się lekcja geografii politycznej: naruszenie tego czynnika równowagi, jaki stanowiła Polska, leżąca na właściwej osi europejskiej—powoduje co raz to bardziej wzrastający chaos w stosunkach międzynarodowych. I te czerwone kałuże, jakie rok temu widniały na ulicach Warszawy mogą się rozlać po świecie olbrzymim morzem krwi.

tk

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.